Nr. 23. Lwów, Niedziela dnia 11. Lutego 1877 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

OD WYDAWNICTWA.

W r. 1874 odstąpiwszy wydawnictwo „Dziennika Polskiego“ postanowiłem założyć pismo literackie, którego Galicja potrzebowała. Tak powstał „Tydzień.“ Blisko przez trzy lata prowadziłem to pismo, jako jego wydawca i redaktor, i mimo szczupłych środków materjalnych, któremi rozporządzałem, dzięki szczeremu poparciu ze strony Czytelników, utrwaliłem istnienie pisma, mogącego stanąć śmiało obok innych w tym rodzaju publikacyj.

Zamiarem moim było nie rozłączać się nigdy z „Tygodniem.“ Okoliczności zrządziły jednak, że w grudniu r. 1876 musiałem wrócić do „Dziennika Polskiego.“ Ponieważ zajmowanie się dwoma tak wielkiemi wydawnictwami nie leży w siłach jednego człowieka, przeto nie chcąc podejmować się rzeczy niemożliwej do wykonania, postanowiłem oddać „Tydzień“ w inne ręce.

Szło mi atoli o to, aby pismo założone z takim trudem i mające charakter wybitny, zostało własnością ludzi, dających dostateczne rękojmie, że pod względem materjalnym byt jego nie będzie narażony, a pod względem redakcyjnym nie zejdzie z drogi rozumnego postępu.

Znalazło się grono młodych i dzielnych pracowników na polu literatury i nauki, z których prawie wszyscy pisywali już w „Tygodniu.“ W takie ręce mogłem wydawnictwo i redakcję złożyć ze spokojnem sumieniem, tem śmielej, ile że odtąd nowi właściciele będą mogli uzupełnić to, czego mnie, jako jednostce, nieraz brakowało.

Rozstając się dziś z szanownymi Czytelnikami, dziękuję im z całego serca za okazywane mi względy i proszę, by mnie raczyli zachować w swojej pamięci.

Lwów 8 Lutego 1877.

Józef Rogosz.

OD NOWEJ REDAKCJI.

Przyjmijcie Czytelnicy słowo serdecznego powitania od nowych sił, które przychodzą Wam służyć szczerą i uczciwą pracą. Nie będziemy tu wypowiadali ogólnikowego programu naszych dążeń, ponieważ zarówno w sprawie zasadniczych przekonań, jak i w sprawie poglądu na szczegółową pracę redakcyjną, znajdziecie dostateczną odpowiedź w szeregu artykułów wstępnych i w całej treści pisma. Nie chcemy też zjednywać sympatji Waszej odezwą, lecz samem wydawnictwem; wierzymy bowiem, że pismo starannie i wytrwale prowadzone, jeśli tylko odpowie rzeczywistym potrzebom lepszej części naszego czytającego ogółu, musi znaleść uznanie i poparcie.

Zresztą zadanie nasze jest o wiele łatwiejszem, aniżeli to bywa zwykle przy zmianie właściciela i redakcji. Obejmujemy pismo nie w upadku, lecz w pełni rozwoju będące; staraniem więc naszem będzie stopniowo tylko wartość jego podnosić, urozmaicać treść, dodawać mu życia i potęgować siły. A w tym względzie na brak poparcia skarżyć się nie możemy, bo już w obecnej chwili mamy przyrzeczenie pomocy niemal od wszystkich znakomitszych autorów polskich. Szereg nazwisk podamy następnie, wówczas mianowicie, gdy ukończenie rozpoczętych już artykułów pozwoli nam, współcześnie nowe te siły wprost do pisma wprowadzić i niektóre działy urozmaicić. Tymczasem przestaniemy na drobnych ulepszeniach i na gromadzeniu zasobów.

Lecz ażeby dobre chęci nasze odniosły pożądany skutek, potrzeba na to jednego bardzo ważnego warunku, potrzeba **stałej, otwartej wymiany myśli pomiędzy redakcją a czytelnikami**: potrzeba nam duchowego związku z całym krajem, ze wszystkiemi jego pragnieniami i potrzebami. Niech więc ci, których pominąć mogliśmy w zaproszeniu do współudziału w pracy, raczą nie zważać na to i pospieszyć z pomocą w sprawie wspólnego dobra. Musimy się tu jasno wytłumaczyć. Nie żądamy od ogółu czytelników naszych, artykułów i rozpraw, bo tych będziemy mieli poddostatkiem od osób specjalnie uzdolnionych i mających wyrobione imię w piśmiennictwie, ale żądamy spostrzeżeń, uwag, wskazówek, projektów, wiadomości miejscowych, a nawzajem gotowi jesteśmy ze swej strony odpowiadać na wszelkie pytania dostępne dla naszej wiedzy. W ten tylko sposób „Tydzień“ może się stać wyrazem potrzeb wykształceńszych warstw naszego ogółu, pożądanym przez wszystkich towarzyszem pracy i rozrywki.

W tej myśli witamy Was, i oby to słowo powitania stało się zadatkiem serdecznej wzajemności, pomiędzy redakcją a czytelnikami.

Listy i przesyłki literackie adresować należy do redakcji „Tygodnia“ we Lwowie: Akademicka, 8.

W imieniu komitetu redakcyjnego:
Juljan Ochorowicz, Bruno Abakanowicz.

ŁUŻNE UWAGI.

XXIII.

PRAWA AUTORSKIE.

III. Były minister austrjacki, znakomity ekonomista Schäffle, przemawia za przyjęciem prawa autorskiego, obowiązującego w Anglji, żądając skrócenia terminu do lat 20 od wyjścia z druku dzieła, lub do śmierci autora, jeżeli ta później nastąpi; za zniesieniem rozciągłości prawa autorskiego na inne państwa, tj.: za dozwoleniem robienia przedruków w innych krajach, i za dozwoleniem tłumaczeń bez żadnego ograniczenia. (Dzisiaj to ograniczenie istnieje w niektórych prawodawstwach od 2 do 5 lat od wyjścia z druku dzieła).

Jeżeli społeczeństwo ustępuje swoich praw na korzyść autora, czyni to wskutek konieczności zrobienia zachęty do pracy, w przewidywaniu, że wielkich strat nie poniesie, gdyż autor pracuje nie dla samego chleba, ale ma na widoku dobro publiczne i własną sławę. Interes więc autora zbiega się z interesem społeczeństwa. Jeżeli przysłuża to prawo autorowi aż do śmierci, czyni to w przewidywaniu, że autor może dzieło swoje ulepszać. Ze śmiercią autora stosunek się zmienia zupełnie. Spadkobiercy mają tylko materjalne korzyści na widoku, społeczeństwo zaś ustępując na ich rzecz prawa autorskiego, ponosi nieobliczone straty. Właśnie tracąc znakomitego pisarza, poczyna się rozpatrywać w jego dziełach. Właśnie po śmierci autora dzieła jego najwięcej są poszukiwane. I jeżeli społeczeństwo uczyni jakie ustępstwo na rzecz spadkobierców autora, to takowe powinne być jak najmniejsze.

Tytułem do ustępstw na rzecz spadkobierców, czyli do przedłużenia praw autorskich po zgonie autora, są następujące powody: Autor mógł sprzedać dzieło nakładcy przed samą śmiercią, potrzeba więc zostawić czas nakładcy do rozprzedania dzieła. Autor mógł nie zostawić żadnej spuścizny dzieciom, i umierał w trosce o ich wychowanie, potrzeba więc przez pamięć na jego zasługi przyjść z pomocą małoletnim.

Przyjmując prawo angielskie 7 lat od śmierci autora, czynimy aż nadto tym wymaganiom zadosyć. Jeżeli bowiem autor nie używał wielkiej popularności, to po jego śmierci zaledwie jedno wydanie dzieł może być zrobionem z korzyścią dla spadkobierców, a w ciągu 7 lat wyczerpie się nakład; jeżeli zaś używał wielkiej popularności, to w tym przeciągu czasu dwa i więcej wydań może być zrobionych, i los spadkobierców będzie zabezpieczony.

Przeciąganie dłuższe przynosi straty niepowetowane. Jeżeli autor nie był popularnym, dzieła jego nie są wielkiej doniosłości, to zanim upłynie 30 lub 50 lat, społeczeństwo o nim zapomni i spuścizna jego zmarnowaną zostanie. Jeżeli zaś przeciwnie autor był genjalnym, to społeczeństwo niekorzystając z jego genjuszu przez lat 50, tem samem traci owoc jego pracy i genjuszu. Każdy autor, pisząc dla współczesnych, przez współczesnych najlepiej może być zrozumianym, a tymczasem licząc od daty wyjścia dzieła i 50 lat po śmierci autora upływa prawie cały wiek. W ten sposób rezultat pracy autorskiej maleje niesłychanie, i to ze szkodą społeczeństwa.

Siedmioletni więc okres czasu po śmierci autora może być przyjęty jako najdłuższy dla spadkobierców do korzystania z prawa autorskiego. Co do zniesienia ograniczeń w przedmiocie tłumaczeń, w zupełności można przyjąć zapatrywania Schäfflego; tylko względem dozwolenia przedruków w innych państwach, musimy zrobić wyjątek dla siebie wskutek wyjątkowego naszego położenia.

Zupełnie słuszną jest rzeczą, nie ograniczać popularyzowania dzieła po za granicami własnego kraju, ale tylko tam, gdzie granice państwa zchodzą się z granicami zamieszkalności narodu. My jednak pomni na jedność narodową i ogólny interes, musimy stanowczo potępić wszelką konterfakcję, uczynioną w którejkolwiek prowincji w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Społeczeństwo nasze potępiło przedruk dzieł Syrokomli, dokonany w Poznaniu przez Jagielskiego z krzywdą małoletnich sierót wieszcza litewskiego.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Po odwidzinach, wszyscy zebrani przy kominie pozostali czas jakiś milczący, szanując niedobry humor samej pani Barcińskiej, z tego uciszenia już wnieść było można, że rozmowa będzie burzliwą...

Stolnikowa siedziała przy kominie nakwaszona (jak zwykł był mówić mąż,) ręką brodę podparłszy, nachmurzona...

— No, no! puśćcież sobie waszmość oba cugle i chwalcie tę chłopiankę, bo widzę że wam już języki świerzbią... — odezwała się po chwili Barcińska — ja nie przeszkadzam chórem, chórem... Najlepsi nawet mężczyźni, zawsze mężczyźni, jak im świeże liczko oczy olśni, pogłupieją z pozwoleniem...

— Gdybyś pani chciała mnie cierpliwie posłuchać to bym coś powiedział — odezwał się kasztelan łagodnie — zaczepieni musimy się bronić.

— Czem wy się obronicie — mówiła ciągle niechętnie jakoś Barcińska — bałamuty jesteście i po wszystkiem.

— I ja? spytał kasztelan.

— Jakto, i ja? toś waszmość co lepszego odemnie, a ja to już zdesperowany wisus na starość? — ofuknął się stolnik.

— Otóż i waszmość panie kasztelanie— dodała Barcińska. — Coście w tej sroczce upatrzyli? Wyglądała dziś w tej czarnej sukience fertycznie jak sroczka! jak sroczka! ale sroczka młoda i ładna, a szczebiotliwa też...

— Aleśmy nic nie upatrzyli! — zawołał kasztelan. — Ładna i rozsądna kobiecina, ot i koniec.

— I rozsądna! tfu! — mówiła stolnikowa — a gdzież to ona tego rozumu nabrała? w chłopskiej chacie? a ja waszmościom powiadam, o sto mil bym zwąchała w niej, że nie jest szlachcianka! Wygląda na przystojną garderobianę... a że Krajczycowa ją trochę wymusztrowała i książkami ladajakiemi głowę napchała... ot, to już wielkie rzeczy! A dosyć tego, dosyć!

Żeliga począł się śmiać, pocałował w rękę jejmość i rzekł:

— Jesteście niesprawiedliwi, ale ponieważ macie nas za skorumpowanych sędziów, apeluję do Justysi.

Powołana dotąd milcząca Justysia przypadła do nóg matki, uklękła, pocałowała w kolana i szepnęła.

— Matuś kochana, mnie się nie godzi tobie zaprzeczyć, ale Achingerowa. chłopka czy kto tam ona jest, do serca mi przypadła!

— I tobie!

— A co? zawołał kasztelan i stolnik.

— Przekupiliście mi ją! — rzekła Barcińska; — co wy tam w niej widzicie?

— Ja to powiem asińdźce — przerwał Żeliga — choć nie wiem czy się dobrze wysłowić potrafię. Oto są dwa rodzaje ludzi, co się najlepiej rozumieją i zgodzą... lud i szlachta... ci których Bóg stworzył a świat nie zepsuł, z tymi co za światem dążą też nie zepsuci; w pośrodku między nimi są różne ludziska do których przystać trudniej, bo mięszaniny... ni to Boże stworzenie, ni owoc świata zdrowy... dużo pychy, wiele zazdrości, żółci pełno. Lud prawdziwy tego nie ma, ani prawa szlachta. Chłopa ja lepiej rozumiem, niż mieszczanina, i mniej się go też boję.

— Otoś się waszmość w chamskiem plemieniu nagle rozkochał — zawołała stolnikowa gniewnie — ale dajcie mi pokój, dla mnie ludzie to ino nasza szlachta... a reszta mój dobrodzieju małpy, którym się zbiera na to, i zachciewa czemś być, ale daleko jeszcze... o daleko!

— Jejmościuniu—przerwał Barcinski — a co Chrystus Pan powiedział: że wszyscy ludzie braćmi.

— Daj że ty mi pokój, są bracia i braciszki; nie wypieram się pokrewieństwa, ale cóżem winna, że mi ono śmierdzi...

W śmiech to poszło.

— Oj świat! świat! — rzekł kasztelan — co to sobie ludzie potworzyli... miły panie! Stolnikowo kochana wszyscy bałamucimy... i ja i wy. Ludzie wszędy ludźmi... ten lepszy co więcej wart...

— Tak! tak! a czemuż to ta jejmość ma być warta wiele? — spytała stolnikowa — poszła młodo za pół zgniłego kuternogę przez ambicję... to to pięknie?

— Matka ją wydała przecie! — wrzucił stolnik.

— A posłuchajcież jej jak się wyrobiła — dodał kasztelan — z jakim talentem, skromnością..,

Tych pochwał pani Barcińska już wytrzymać nie mogła, porwała się aż z krzesła.

— A no dosyć — zawołała — bo my tu przy niej wszystkie na czupiradła wyjdziemy... dosyć, śliczna, rozumna, doskonała, ino dosyć...

Zamilkli tedy. Była to środa, we czwartek mowy o tem nie było aż nadszedł piątek i ów postny objad u Achingerów. Stolnik poszedł do stajni sam konie wybrać, a że to się w owych czasach wcześniej wszystko czyniło i godziną objadową było południe, po dziesiątej wszyscy już byli gotowi, tylko Barcińska trwając w swem postanowieniu, nie ruszyła się od pończochy i komina.

Kasztelan acz skromnie i żałobnie przy-

brał się świąteczno, przypasał szablę czarno szmelcowaną, wziął pas jedwabny turecki, czapkę z barankiem białym aksamitną, postawę miał pańską i piękną. Justysia chciała być strojną i wystąpić, czego matka nie broniła i wyglądała na młodą królowę. Stolnik dla uhonorowania gospodarza wziął pod kontusz wstęgę a do boku przypiął gwiazdę.

Dzień był chmurny i słotny, ale droga jeszcze niezbyt popsuta, około południa stanęli przed dworem, w którego ganku oczekiwał kuternoga wystrojony niesmacznie, w palonych butach, w pasie zbyt zawiesistym do jego postawy, ze świeżo jak rzepa wygoloną głową. Nawet wąs, ta ozdoba twarzy nie pięknych, która je znośnemi czyni, jemu nieborakowi. nie dopisywał, cienki był jakby powysmykiwany i najeżony dziwacznie. Ale na żółtem licu malowała się radość z przyjmowania dostojnych gości. Podał rękę Justysi i wprowadził ją do salki, w której oczekiwała gosposia na ten raz w mienionym robronie, w klejnotach, przystrojona wedle dyspozycji pana męża, więc dosyć niesmacznie a błyszcząco. Zmięszana była widocznie...

Dom Achingera nie był urządzony zbyt wykwitnie i niezwykły do przyjęć uroczystych, kłopotu było więc nie mało z nim, ludzie biegali jak poparzeni, kadzidło czuć wszędzie, nieład razem i zmięszanie. Kadzono trociczkami po pokojach, rożkiem w sieni, a więcej było dymu niż zapachu. Na dobitkę ten zbytek pachnideł kazał się domyślać jakiejś niewonnej ich przyczyny, która lada chwila zwycięzko objawić się mogła.

Gosposia się rumieniła co chwila, Achinger perzył i niecierpliwił, we drzwiach to się rozczochrana pokazała dziewczyna, to mignął jakiś przybór zakulisowy, który nie miał pozwolenia ukazywać się gościom. Jegomość i jejmość wybiegali na przemiany, dawali sobie znaki, brzęczały klucze, w pospiechu leciały talerzy na ziemię, chłopcy poubierani w nieswoją odzież chodzić nie umieli... słowem utrapienia z początku więcej było niż pociechy. Ale podano przekąskę i jakoś już potem wszystko weszło w karby, gdy pierwszy przestrach przeminął.

Rózia wybiegła jeszcze zajrzeć na stół i wydać rozkazy ostatnie do kuchni, a tymczasem mężczyźni poczęli w ręce asana dobrodzieja gdańską wódkę przedziwną.

Wędliny godne jej były... Justysia pomagała ochotnie Achingerowej, naostatek drzwi się otwarły i poprowadzono do stołu nakrytego z całą elegancją, na jaką stary kredencerz, który po dworach bywał, mógł się zdobyć. Szczególniej figlarne ułożenie serwet na talerzach dowodziło, że mu pańskie obyczaje nie były obce. Obrus też misternie karbowany w desenie, gdyby nie tabaka, którą go autor nieco posypał, uszedłby za prawdziwe dzieło sztuki.

Ale z temi proszonemi objadami na wsi, zawsze jedna historja: jedno się przysmali, drugie przydymi, trzecie niedopieczone; im gospodarz by bardziej chciał wystąpić, tem pewniej kopce i dymy zawiodą. Choć Rózia była sama w kuchni, choć kucharz miał zapowiedziane piętnaście bizunów, jeśliby sobie podchmielił, objad był nieosobliwy, tylko węgorz udał się paradnie. Oblano go dobrem winem węgierskiem, naprzód słabszem, potem starem wytrawnem. Achinger, który się wzmagał niezmiernie aby ugościć, najpierwszy sobie podchmielił. Wstali wszyscy w dobrych humorach, tak że zgryzoty z powodu różnych półmisków chybionych zostały zapomniane.

Rózia tego dnia była mało mowną, zafrasowaną, ale mimo stroju niesmakownego wydawała się piękną jak zawsze, smutniejszą, tylko niż innych dni.

Achinger, mający w tem myśl swoją, tak po objedzie kierował, aby żonę z kasztelanem na rozmowie zostawić. Udało mu się nadspodziewanie nawet; Żeliga przysiadł się do jejmości, oboje się zapomnieli... i dopiero o zmierzchu gdy stolnik wziął za czapkę, ocknęła się pani Achingerowa, a Żeliga zmiarkował, że zadługo przy niej przesiedział.

— Jeśli w tym człowieku jest jeszcze choć kropla krwi i odrobina serca niewyschłego, to musi się głowa zawrócić! — rzekł sobie w duchu szlachcic stojąc w ganku po odjeździe gości. O moją jejmość się nie obawiam, jest stateczna, sama nie wie co czyni, jaki ma urok... ale Żeligę złapałem... no! i już go nie puszczę.

To mówiąc śmiał się i ręce zacierał. Wszedłszy do pokoju zdziwił się, żonę zastawszy jak słup stojącą i zamyśloną; ale to sobie wytłumaczył tem, że się zmęczyła. Chciał ją pocałować, ale odskoczyła od niego przelękła, aż się śmiać począł z niej, i uciekła do swojego pokoju.

Achinger zajął się jak zwykle obrachowaniem szkód, czerepów potłuczonych, wypitych flaszek, wymierzeniem kar na winowajców, łajaniem kucharza i następstwami zwykłemi, które objad taki ciągnie za sobą zawsze; to go przyjemnie zajęło aż do dnia następnego, i już Rózi nie widział tego wieczora. Zdaje się, że ostateczne rachunki z ludźmi ukończył nazajutrz rano gumienny na toku

---

Wiosna w tym roku spóźniona, poczęła się dopiero pierwszych dni kwietnia zwiastować; ale jak to zwykle bywa, po tęgiej i długiej zimie sybirskim sposobem śniegi stopniały, trawa zazieleniała, leśne kwiatki pootwierały pyszczki w ciągu dni kilku, a po plutach, zamieciach, mrozach, gdy ten pożądany gość zawita: ciepło, słońce, zieloność i rajskie wonie liści, nie ma duszy ludzkiej, którąby się nie radowała powrotowi do życia.

Choć pod naszem niebem często się prawdzi przysłowie. „do świętego Ducha nie zrzucaj kożucha, a po świętym Duchu, chodź zawsze w kożuchu,“ jednak i u nas bywa ciepło i śmieje się ziemia choć chwilę. W Barcinie wielkanocne święta razem z wiosną powołały do czynych zajęć panią Barcińskę, a trochę nawet ciężkiego stolnika. Żeliga bawił u nich ciągle, ale że mu tu jakoś było dobrze, swobodnie, cicho, że miłował oboje starych, choć się z nimi czasem pokłócił, a ciężarem znowu być nie chciał, zaprowadził sobie rodzaj małego osobnego gospodarstwa w oficynie, trzymał parę koni, wierzchowca, stajennego, służącego i chłopaka. Stolnikowa mimo kłótni to o panią Achingerowę, to o inne różne zdania kasztelana, z któremi się pogodzić nie mogła, kochała go bardzo i mawiała teraz, że jakby go im w Barcinie uchowaj Boże zabrakło, to by i ona w nim nie wytrzymała.

Ze wszystkich jednak uraz, jakie miewała do Żeligi, najmocniejszą może była wspomniana właśnie o sąsiadkę.

Achinger po owym pamiętnym objedzie piątkowym nie zaniedbał wciągać kasztelana, narzucać mu się prawie, zapraszać, odwidzać. Gniewało to niepomału stolnikowę.

— Ależ na miłego Boga, — mawiała cicho do męża, — głupi człowiek, albo już oczów nie ma, czy co? Ciągnie go do żony, a to jakkolwiek stateczny, poważny, i nie bardzo młody mężczyzna, ale dalipan jabym za niego nie ręczyła, że się w niej nie rozmiłuje.

— E! cóż to jejmość pleciesz znowu! wołał Barciński śmiejąc się.

— Plotę albo i nie plotę — mówiła stolnikowa — ja mam dobre oczy, lubią się bardzo i rozumieją z sobą najlepiej. Nie ma w tem grzechu, ale po co kusić licho kiedy spi? Rózia mało nie szaleje za kasztelanem, a kasztelan widzi w niej więcej niż jest, I trochę za często tam bywa, i wiem że grzeczności robi, książki posyła, prezenciki...

Barciński bronił zawsze do upadłego kasztelana; stolnikowa go podejrzywała mocno.

— Jejmości to się śni nie wiedzieć co... — powtarzał — dałabyś pokój. Czyż nie znasz człowieka... a i Achingerowa uczciwa kobieta. Cóż to już i przyjacielem zamężnej kobiety być nie wolno?

Stolnikowa ruszyła ramionami.

— A ja tego nie lubię — mówiła — ja tego nie lubię. Czemu, jak się ich zejdzie dwoje czasem i cały wieczór przy sobie przesiedzą, a ona go słucha, a ten jej prawie, jakby lekcje dawał.

— No to co? albo Justysi naszej nie uczył? pytał stolnik.

— To było co innego, a to co innego, tamto dziecko.

— I to dziecko.

— Już daj mi jegomość pokój.

Na tem się zwykle kończyła rozmowa, ale przy pierwszej zręczności z małemi odmianami powtarzała. Nie był stolnik ślepy także, widział, że kasztelan miał słabość do Achingerowej, ale w tem nie upatrywał nic złego.

Szlachcic zazdrośny okrutnie o innych, który jak oka w głowie żony pilnował i młodzież odganiał na wsze strony, co do kasztelana był nader pobłażającym i ślepym; zostawiał go z żoną godzinami, nastręczał mu widywanie się z nią, słowem grał jakąś rolę dziwaczną. To jeszcze bardziej rozjątrzało stolnikowę, która mu tej, jak ją po prostu nazywała, podłości darować nie mogła.

Miała słuszność; czuła ona w żółtym kuternodze rachubę przewrotną i niegodziwą; szczęściem od jej urzeczywistnienia bronił szlachetny charakter kasztelana, który wcale ze swobody jaką mu dawano, korzystać nie chciał. Ale któż nie jest słabym w obec uczucia tego, które największy skarb człowieka na ziemi stanowi? Żeliga bardzo niewinnie przywiązał się do Rózi i bez złej myśli uczęszczał do Achingerów.

Stolnikowę to niepokoiło, umiała ona

*

badać przyjaciela, który nigdy nie kłamał, wiedziała i liczyła ile razy tam był, kiedy męża zastał lub nie i jak bawił długo.

Naostatek, gdy w ciągu tygodni samych roztopów, wypytała się, że cztery razy w najgorszą drogę jeździł Żeliga do Achingerów, a dwakroć męża nie zastał i bawił mimo to po kilka godzin, poczęła się bardzo frasować.

Weszła do męża wieczorem tego dnia, gdy Żeliga późno wrócił z sąsiedztwa, i poczęła wyrzekać.

— Ja ci powiadam, mój jegomość, że to jest łajdak ten Achinger, on sobie rachunek zrobił na niego i nie chybi... chce mu sprzedać żonę... nie pierwszy to raz i nie ostatni takie się rzeczy trafiają. Mało do tego było przykładów, że panowie rozwodzili żony mężom, za to opłacając.. Ja kasztelana nie posądzam o postępek tak nie moralny, ani tę sroczkę nawet, ale Achinger nań rachuje. Po co wyjeżdża z domu umyslnie i samych ich z sobą zostawia, zaklinając kasztelana aby bawił? toć to bije w oczy...

To mówiąc, obejrzała się po za siebie, poczuwszy jakby przytomność trzeciej osoby, i spostrzegła dopiero Żeligę, który stał za nią i rozmowy słuchał... Krzyknęła pani stolnikowa ze strachu, ale co się rzekło, tego odwołać było niepodobna. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Sielanka, jak wiele innych rodzajów poezji, jest zabytkiem starożytności. Pojawiła się ona u trzech ludów starożytnego świata, z których każdy samoistną wytworzył cywilizację: u Hebrejów, u Indjan i u Greków. Indjanie nie naśladowali Hebrejczyków, ani Grecy Indjan; w każdym z tych trzech narodów samodzielnie powstały arcydzieła sielskiej poezji, z odrębnemi cechami narodowego charakteru. Ale ani indyjska Gita-Gowinda, ani hebrajska Pieśń nad pieśniami nie wywarły takiego wpływu na dalszy rozwój sielskiej poezji, jak sielanka grecka, stworzona przez Teokryta. Ją to naśladował Wergiljusz, ją to pośrednio lub bezpośrednio naśladowała poezja średniowieczna i nowożytna. Trzeźwy, spokojny i harmonijny duch grecki wycisnął piętno swoje i na sielance, jakkolwiek ta była jesiennym już jego kwiatem. Zadaniem było Teokrytowej sielanki przedstawić ciszę, spokój i słodycz wiejskiego, pasterskiego życia, w przeciwstawieniu do niespokojnego, hałaśliwego i zbytkowego życia miast. Ale już sami greccy naśladowcy Teokryta daleko w tyle pozostali za swoim mistrzem. W rzymskich sielankach maniera Teokrytowa krępuje samodzielną twórczość, w średniowiecznych i nowożytnych sielankach pośredni czy bezpośredni wpływ jej także po większej części szkodliwie wpływa na oryginalność. Duch sielankowy, jak wskazują powszechne dzieje poezji, budzi się w narodzie nie wtedy, kiedy ten naród wiedzie czysto sielskie życie, drzemiąc na łonie natury, ani wtedy, kiedy zmężniawszy, naddatek fizycznych sił swoich rozprasza na wojny i podboje; ale wtedy, kiedy dosiągnąwszy stosunkowo wysokiego stopnia materjalnego i moralnego rozwoju, oddaliwszy się znacznie od natury, zaczyna tęsknić do niej, i pierwotne życie sielskie ubarwiać kolorami wyobraźni. Z narodem dzieje się jak z człowiekiem, co dobiegłszy połowy życia, rad ogląda się na czasy dziecinne, i wznawiając w wyobraźni obrazy dzieciństwa, wielbi jego świętą ciszę i spokój nienaruszony. Tak było w Indjach, w Grecji i w Rzymie, tak też było i w średniowiecznej Europie. Ze średniowiecznych narodów Europy narodem, który najwcześniej stanął na wysokoim stopniu cywilizacji, byli Włosi; tam też należy szukać początku europejskiej sielanki. Znajdujemy go już w Boccacciu w jego Admecie w 14 wieku, tj. wtedy, kiedy jeszcze po tej stronie Alpów wielka panowała ciemność w pojęciach i szorstkość w obyczajach. W miarę jak rozwijały się we Włoszech sztuki, nauki, dobrobyt, a wraz z tem ogłada towarzyska, smakowano tam coraz bardziej w poezji pasterskiej, i to szczególnie smakowali w niej ci, co najbardziej oddaleni byli od prostoty sielskiego życia, tj książęta i wielcy panowie. W szesnastym wieku stanęły Włochy u szczytu cywilizacyjnego rozwoju swego, i ten to wiek właśnie wydał Beccarego, Tassa i Guariniego, których pasterskie poemata stały się wzorem dla swoich i obcych poetów. Pod wpływem włoskiej poezji na półwyspie pirenejskim budzi się sielanka na początku 16 wieku, we Francji i Polsce pod koniec tego wieku, w Niemczech dopiero na początku siedemnastego. Jakkolwiek wszędzie był dla sielankarzy wzorem Teokryt i jego rzymski naśladowca, to przecież w każdym narodzie sielanka odmienny przybierała charakter, a to wskutek zespolenia w niej obcych pierwiastków ze swojskiemi, stosunków starożytnych ze współczesnemi. Tak np. pasterska poezja Hiszpanji i Portugalji mocno się zromanizowała i bardzo się zbliżyła do ludowych pieśni, zwanych romancami, w które tak obfitują te narody; we Francji przy końcu 17 wieku przybrała pewną grację dworską i wymuszoność, która cechowała życie towarzyskie wyższych sfer, w Polsce na początku 17 wieku najudatniej może naśladując Teokryta, umiała nieraz szczęśliwie odmalować zwyczaje ludu ruskich prowincyj, gdzie miała gniazdo swoje. Nie mamy tu zamiaru podawać historycznego szkicu sielanki; chodzi nam tylko o wskazanie, jak różnorodnym jest skład nowożytnej sielanki, i jaka różnica zachodzi pomiędzy nią a sielanką klasyczną, pomiędzy naśladowaniem a wzorem.

W literaturze polskiej na polu sielanki miał Karpiński nie wielu, ale znakomitych poprzedników, jakimi byli Szymonowicz i dwaj Zimorowicze. Szymonowicz jest ojcem sielanki polskiej i wzorem dla późniejszych sielskich poetów w Polsce. Wielbiciel Teokryta przeniósł żywcem wiele ustępów z niego do swoich sielanek, odziawszy je prześliczną polszczyzną; w kilku jednak sielankach, jak Żeńcy, Kołacze i inne, jakkolwiek nie spuszczał z oka wzorów Teokrytowych, podniósł się przecież do wysokiego stopnia oryginalności. W sielankach tych znika świat klasyczny ze swemi kupidynkami, hymenami i wenerami, zapada się w ziemię cała erudycja mitologiczna, robi się jasno i swojsko, występują postacie rodzime na tle czysto rodzimem. Treścią tych sielanek są obyczaje wiejskie ludowe jak w Żeńcach, szlacheckie jak w Kołaczach. Pod tym względem nie wyszedł Szymonowicz z zakresu sielanki, jaki jej naznaczył mistrz grecki. Inaczej ma się rzecz z Bartłomiejem Zimorowiczem. Idąc za Szymonowiczem, naśladował on także, jakkolwiek mniej szczęśliwie, Teokrytową sielankę, i próbował także w paru utworach rozstać się z klasycznemi reminiscencjami, a stanąć na gruncie czysto miejscowym, współczesnym; ale choć mu się ta próba wybornie udała, to przecież obrał sobie taki przedmiot, że owe utwory do wszystkiego mogły być podobniejsze, jak do sielanki. Takiemi są Kozaczyzna i Burda chłopska, wyborne opowiadania na temat wojen kozackich, bez wątpienia o wiele więcej warte od tych wszystkich utworów Bartł. Zimorowicza, które mają prawo do nazwy sielanek. Nie pojmował poeta zadania sielanki, sądził, że dość jest pisać o ludzie, aby stworzyć sielankę, chociażby to miał być opis najkrwawszych jego zapasów. Młodszy brat jego Szymon może miał większy talent od Bartłomieja, ale nie miał czasu go rozwinąć; w każdym razie w niektórych pieśniach Roksolanek, pod względem słodyczy i wdzięku wyrażeń zbliża się młodszy Zimorowicz do Szymonowicza, którego także był naśladowcą.

Do poprzedników Karpińskiego na polu sielanki należą jeszcze: Gawiński, Minasowicz, Naruszewicz. Wszyscy oni mniej lub więcej stosują się do wymagań Teokrytowej sielanki, ale gdy poezja Gawińskiego nosi jeszcze na sobie ostatni odblask złotego wieku, w sielankach Minasowicza i Naruszewicza przeważa już deklamacyjny ton stanisławowskich czasów. Godną jest uwagi rzeczą, że najudatniejsze ustępy w sielankach Naruszewicza noszą satyryczny charakter (patrz sielankę „Folwark").

Bezpośrednim następcą ostatniego poety jest Karpiński, ale sielanka jego nową poszła drogą. Pasterska poezja Szymonowicza i jego naśladowców skrojoną była na wzór grecki, główną jej treścią są rzeczywiste, miejscowe, lub urojone obyczaje ludu wiejskiego, pasterskiego. Miłość występuje tu tylko jako jedna ze stron życia pasterskiego, i nie zakrywa sobą innych. Tak np. w Żeńcach Szymonowicza nie gra ona największej roli. Sielanka Karpińskiego zupełnie pod innemi urobiła się wpływami. Nie ma ona nic wspólnego z Teokrytem, prócz nazwisk pasterzy i pasterek, a i te nazwiska przejął Karpiński nie bezpośrednio od sycylijskiego śpiewaka, a z francuskiej sielanki.

Powiedziałem już, że po raz pierwszy sielanka odezwała się we Francji przy końcu 16go stulecia. Z początku i francuska sielanka dążyła do zlania antycznej poezji pasterskiej z romantyzmem, ale przy końcu 16 wieku w najsłynniejszym swoim przedstawicielu, Fontenelle, zaniechała tego dążenia. Fontenellowi Teokryt wydawał się zbyt szorstkim i rubasznym, jego pasterze zanadto prawdziwymi, nieokrzesanymi, za mało idealnymi pasterzami. W swoim „Discours sur la nature de l' eglogue" powstał on otwarcie przeciw Teokrytowi i wypowiedział swoje pojęcia o sielance. Przyznawał, że wyobraźnia wymaga prawdopodobieństwa, ale że byle na czem przestaje i łatwo ją oszukać pozorami prawdy, że zatem nie należy naśladować natury, jak to czynił Teokryt, bo to rzecz nudna i nikogo zająć nie potrafi, ale korzystać z sytuacji, jakie nastręcza życie sielskie, i na tle jego roztaczać to, co się najwięcej wszystkim podoba, co najwięcej wszystkich zajmuje*). Cóż może więcej

---

*) Je concois, que la poésie pastorale n'a pas de grands charmes, si elle est aussi grossiére que le naturel,

zajmować i podobać się wszystkim, jak nie miłość? Otóż miłość powinna być głównym przedmiotem sielanki, a to miłość łagodna, tęskniąca lub narzekająca, jednem słowem nie taka, jaką mogą czuć prawdziwi pasterze dla prawdziwych pasterek. W ten sposób były pisane wszystkie sielanki Fontenelle'a, a ponieważ godziły w smak tych, którzy stanowili wówczas o modzie całego świata, miane więc były powszechnie za arcydzieła i niedoścignione wzory.

Takie to wzory naśladował Karpiński. I w jego sielankach pasterze nie zajmują się tem wcale, co do nich z natury rzeczy należy, a tylko gruchają o miłości, którą jak najsztuczniejszym usiłują wypowiadać sposobem. Ale wpływ poezji francuskiej na Karpińskiego począł się dopiero od chwili poznania z panią Ponińską, i zabrania się poecie do nauki francuskiego języka; wiemy zaś z pamiętników (str. 109), że niektóre sielanki pisane były do pierwszej Justyny, tj. wtedy, kiedy poeta nie znał ani pani Ponińskiej, ani francuskiej poezji i języka. Poprzestajmy zresztą na tej jednej sielance, o której z pewnością wiemy, że napisaną była przed wpływem francuzczyzny i porównajmy ją z innemi. Przewyższa ona wszystkie inne prostotą, naturalnym wdziękiem i melodyjnością. Młody poeta patrząc na odradzającą się przyrodę, w każdem jej bogactwie widzi brak ukochanej istoty:

Już tyle razy słońce wracało
I blaskiem swoim dzień szczycił,
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać;
Całe się pole zazieleniło;
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa;
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! póki2 będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił,
Wróć mi urodzaj kochany!

Każda strofa stanowi doskonale zamknięte ogniwa; cztery pierwsze idą równorzędnie i tworzą podstawę dla piątej, ostatniej, która streszcza w sobie skargę i tęsknotę poety. Budowa zatem piosnki jest bardzo lekka i harmonijna. Można przypuszczać, że zachodziła pewna różnica pomiędzy pierwotną formą sielanki, a tą w jakiej poeta dał ją do druku; może z czasem dobrał tu i owdzie jakie łatwiejsze i melodyjniejsze wyrażenie, ale główna myśl i budowa musiały pozostać niezmienionemi, bo są nadzwyczaj proste, i widocznie jednym szczęśliwym rzutem fantazji utworzone. (C. d. n.)

ou si elle ne roule précisement que sur les choses de campagne. Il faut du vrai à l'imagination, mais elle n'est pas difficile à contenter, il ne lui faut souvent qu'un demi-vrai. Oeuvres diverses. T. II. p. 113. A la Haye. 1728.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

I.

Po Grekach rozwinęli własną sztukę najpierwsi w Europie Italowie przodkowie dzisiejszych Włochów. U nich trzeba rozróżniać style: etruryjski i łaciński.

Styl etruryjski rozwinął się w samodzielniejszy organizm około roku 350. Świątynia etruryjska nie zbyt wiele od greckiej się różniła, a na istniejące zmiany wpłynęła przeważnie odmienność materjału; greckie świątynie stawiano z marmuru, etruryjskie zaś z cegły. Jeżli jednak świątynia etruryjska przypominała grecką układem swoim, nie była ani dorycką ani jońską, ani koryncką, i nie była przeto rzeczywiście podobną do żadnej świątyni greckiej.

W świątyni greckiej cela, czyli właściwa świątynia, posiadała kształt przypominający formę każdego ciosu, a ciosów układ jaśniał pięknie obciosanym ładem. Gdzie cela z cegły stanęła, tam musiała się zadowolić pstrym pokostem cynku, który przynajmniej światłem i barwą oko cieszył. Gdy zatracono proporcję ciosu, zatracono także proporcję celi, która w dowolnym stawała kwadracie. U wchodu stawał przed celą ganek równie wielki albo większy od celi. Ganek ten opierał lekki przyczółek na ośmiu kolumnach ceglanych, z rzadka, po cztery, we dwa rzędy ustawionych. Kolumny te „etruryjskie“ miały głowice doryckie. Ale były smukłe na sposób joński, gładkie i obtynkowane, stały zaś na podstawach kwadratowych, czem rożniły się od wzoru doryckiego. Po nad kolumnami owemi biegł fryz wąski, podzielony przez niezdobne gzymsiki. Na płaskim suficie ganeczka były drobne kosety, a świątynia cała stała na podmurowaniu.

Taka świątynia nie miała zalet cudnych greckich budowań. Kolumny jej były martwe i niezdobne, linje przeważnie lentwe i poziome — nie było więc w niej ani lotności ani siły.

Styl ten ceglany wymagał o wiele mniej zachodu od świątyni greckiej, i przypominał ogólny jej układ. Był to styl praktyczny, odpowiadający swemu celowi, i tem znalazł rację bytu. A styl ten trwał, bo był tradycyjnym. Grek byłby powiedział, że ta świątynia brzydka, Etruryjczyk natomiast chełpił się w obec bardziej wykształconego Greka tem, że i on posiada czwarty styl równorzędny jońskiemu, doryckiemu i korynckiemu. W celi i w kolumnadzie widział tradycją powszechną uświęcony kształt przybytku bogów. W układzie właściwym Etruskom i Italom, widział świętą ojców pamiątkę. Pomnąc, że ojcowie jego i dziadowie modlili się w takiej skromnej świątyni, kochał takie i takie stawiał.

Względy praktyczne przedewszystkiem zrodziły i drugi styl italski, styl łaciński czyli starorzymski. Styl ten powstał z cegły i z kamienia, a różnił się głęboko od stylów greckich.

Rzymianie sprowadzali do Rzymu wodę na kilka mil z gór okolicznych, i tak powstały wodociągi, które dały początek stylowi starorzymskiemu, a choć miały praktyczne cele na oku, uderzały już starożytnych ludów wyobraźnię.

Woda miała spływać wielkim strumieniem z górskiego źródła, z lekka a jednostajnie pochyłem i krytem korytem, do nizin łacińskich. Że zaś teren między Apeninami a Rzymem nie przedstawiał wcale jednostajnego spadu, więc wodociąg musiał się czasem w głąb ziemi zanurzać, a częściej, bo po kilka mil od razu, wznosił się na kilka lub nawet kilnanaście sążni nad ziemię. Trzeba więc było milami całemi murować olbrzymie podpory, pod również murowane koryta, niezmiernie ciężkie, napełnione wodą, i mające po kilka sążni przecięcia. Otóż stanęło przed italskim budowniczym zadanie postawienia i rury i jej podpory jak najtrwalej, a jak najmniejszym kosztem. Zadanie to zostało rozwiązane za pomocą łuków i sklepień nieznanych w Grecji. Materjałem wskazanym do tak wielkiej budowy była we Włoszech cegła; a mimo względnej taniości i łatwego obrobienia tego materjału, chodziło o to, aby jak najmniej użyć tego materjału. Oto w krągłej rurze, czyli raczej w długim cylindrze, można było przy najmniejszym wydatku cegieł, największą masę wody więzić w murze najjednostajniej silnym.

Cegła niedająca się ułożyć w wielkie brusy architektoniczne, daje się doskonale ułożyć w krągłe, a na wewnątrz wklęsłe powierzchnie, które zowiemy sklepieniami, a które powstały w rurze wodociągu. Podobnie jak kolumna i architraw jest najwłaściwszem budowaniem dla ciężkiego kamienia, sklepienie najlepiej odpowiada naturze cegły, już z technicznych powodów.

Gdy raz odkryto sklepienie, było rzeczą naturalną, że rury wodociągów wysoko nad ziemię wzniesione sparto na łukach.

Najwięcej materjału byłoby wyszło, gdyby podmurowanie masywne było podtrzymywało owe rury, a koszt takiej budowy byłby przewyższył robocze siły republikańskiej Romy. O kolumnadzie niebyło i mowy, bo jakżeż tu zwiesić cegłę obciążoną wodą, pionowo po nad kolumny z rzadka ustawione? Łuk dawał podporę trwałą a oszczędzał bardzo wiele zachodu Jest to połowa olbrzymiego pierścienia, wymurowana najczęściej z cegieł, a czasem z kamieni. Za pomocą łuków, podobnie jak za pomocą sklepień można drobniejszym materjałem znaczne zakryć przestrzenie. W takiej budowie wystaje każda cegła trochę tylko poza tę, na której spoczywa, i trochę mniej poziomą przybiera postawę, aż wreszcie najwyższe cegły pionowo ponad przepaścią zwisły. Cegły poboczne jako tako ciężarem własnym są do miejsca przymocowane; cegły u góry są trzymane tylko dośrodkowem ciśnieniem cegieł bocznych, na które znów odśrodkowo oddziaływują, tak, żeby sklepienie rozsadziły, gdyby jeszcze boczne pionowe mury nie ściskały czy to łuku czy sklepienia. Tak wystawiony łuk tworzy śmiało nadpowietrzną linję silnym zagiętym murem, urągającym pozornie prawu ciężkości.

Aby takie łuki i spoczywający na nich ciężar wznieść do góry, podmurowuje się pod obydwa ramiona każdego łuku filary, których pionowe przedłużenie służy zarazem za mur ściskający.

Stanął tedy pod rurą każdego takiego wodociągu nieskończenie długi szereg łuków spartych o kwadratowe filary. Rozmiary tych budowli wszędzie imponujące, a miejscami, gdzie się teren zniża, stają dwa piętra łuków, tak, że wodociągi do wysokości 100 stóp dochodzą.

W wodociągach tych nie ma ani ładu dorycyzmu, ani wszechwładnego życia tętniącego w każdej greckiej budowie. Ani oko nie przeliczy, ani myśl nie ujmie tego niezliczonego orszaku jednostajnych łuków, co biegną po płaszczyznach łacińskich, to zanurzając się pod zie-

mię, to znów piętrząc się w wyniosłe, podwójne kształty. Cegły zlewają się jednostajnie w niewyraźną jednostajną masę. Łuki niczem od filarów nieodgraniczone zlewają się z niemi, a że każdy filar do dwu łuków współcześnie należy, więc łuk przelewa się w łuk, jedna część budowy zlewa się z drugą, i mnoży się w nieskończoność, jak fale rzeki, jak dnie długiego życia, i jak chwile nieubłaganego czasu, któremu ani początku niema ani końca. Taki widok budzi w nas tęsknotę i zadumę. Sami stajemy się podobnymi w myśli do jednego z tych łuków, co z filaru występuje hardo i spokojnie, na chwilę tylko, by przelać się w filar i łuk drugi. Pełne ruchu i niepowstrzymane niczem pędzą przed nami nieubłagane wodociągi na obraz wieczności. A wrażenie owe tęskne potęguje się tem, że każdy z tych wielu łuków piękny, hardy i spokojny. (C. d. n.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

FRANCISZKA KSAWEREGO MARTYNOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy*).

Co się tyczy zarządu, powiemy z J. Moraczewskim (Dzieje T. 6. str. 70, 71) — na czele każdego cechu stał starszy, czyli cechmistrz ze stołowymi. Jeżeli cech był połączony z kilku rzemiosł n, p. konwisarzy, ludwisarzy i introligatorów, to każde rzemiosło miało swego starszego w radzie bractwa. Starszy ze stołowymi, prócz kierowania bractwem, znosili się na posiedzeniach z assesorem, t. j. rajcą z ratusza delegowanym. Byli oni przez bractwo obierani, a od rady miejskiej zatwierdzani, wyjątkowo zaś i od niej mianowani. Do przeglądania i wydawania świadectw. oraz prowadzenia rachunków, każdy cech miał pisarza licho płatnego i nie znakomitego nauką. Właściwym członkiem bractwa czyli cechu, był tylko mistrz w rzemiośle i obywatel miasta, a towarzysz i uczeń zostawał jedynie pod opieką bractwa. Cechy baczyły na zachowanie braci i swej młodzieży w bogobojności, bezpieczeństwie od innych ludzi, a przy dobrym bycie czuwały nad bezpieczeństwem swego miasta i sławą swego rzemiosła. Opierały się na podstawie religijnej, miewały niekiedy własne kościoły i kaplice, a zawsze przynajmniej ołtarze swoim kosztem założone i w służbę kapłańską opatrzone. Uznawały jakiego świętego za patrona, i dzień jego z największą uroczystością obchodziły. Stawały z chorągwiami i świecami w ręku przy wszelkich większych nabożeństwach i na pogrzebach braci. Z tej przyczyny, kto nie należał do kościoła rzymsko-katolickiego, ten tylko wyjątkowo mógł być tolerowanym, a mianowicie dla tego Rusinów i Ormianów we Lwowie nie przyjmowano do niektórych bractw rzemieślniczych. To samo poczęto czynić po wielu miastach z nowowiercami.

Taki był najogólniejszy zarys cechów rzemieślniczych, w których rej wodzili starsi i panowie stołowi. Jeżeli szło o jaką większą sprawę cechową — wtedy starszy zwoływał na posiedzenie wszystkich mistrzów czyli majstrów swojego rzemiosła. Na wezwanie takie każdy był obowiązany stanąć pod zagrożeniem kary statutem opisanej. Tylko ważna nader przyczyna mogła uwolnić mistrza od uczestnictwa w zebraniu, lecz i wtedy winien się z niej usprawiedliwić drogą pośrednictwa. Znak cechowy, właściwy każdemu rzemiosłu, był wydawany z cechu i ten przechodził z rąk do rąk mistrzów, póki wszystkich nie zawiadomił o zebraniu. Szewcy n. p. krakowscy jeszcze dotąd posiadają dwie mosiężne tabliczki z wyobrażeniem na nich buta, które ku temu celowi służyły. Nie można też było innym, jak uprzywilejowanym znakiem zawiadamiać braci o cechowem zebraniu. W przeciwnym razie stało by się ubliżeniem dla rzemieślniczej powagi, stąd przewinienie podobne było grubo karane. W r. n. p. 1663 cechmistrz rzeźnicki miasta Kobylina, Marcin Marcinek, zwołując na schadzkę rzeźników kobylińskich, zamiast cechą rzeźnicką, obesłał ich kuchem lnianym Rzeźnicy inni uważając to za wzgardę i kontempt sobie wyrządzony, zanieśli przeciw niemu skargę do urzędu miejskiego. Napróżno biedak tłumaczył się, że tego nie uczynił bynajmniej na kontempt braci, ale tylko na niewinny żartp; oważny urząd miejski po ścisłej roz wadze rzeczy uznał, że żart ten nie był na swojem miejscu, i skazał pana cechmistrza posłuszeństwem, to jest siedzeniem w więzieniu na ratuszu. (I. Łukaszewicz opis miast ptu krotosz). Na serjo więc sprawę traktowano.

Nie mogło jednak być inaczej — cech musiał dbać o swoją powagę, tem bardziej, że miał pod sobą licznych towarzyszy. Zresztą ustawy cechowe i samych braci dobrze strzegły, a rozprawy cechowe musiały być zachowywane w tajemnicy pod surową karą. To też cech stanowił wielką powagę w obec całego rzemiosła, wszyscy bracia bezwarunkowo podlegali jego zdaniu i uchwale, a przeciwko wyrokowi cechowemu nie wolno było szukać protekcji u panów lub sług szlacheckich. Jakoż widzimy panów starszych wnikających we wszystkie sprawy rzemiosła, i w te nawet, które się odnosiły ściśle do zakresu domowego i rodzinnego życia rzemieślniczej braci. W duchu więc ustaw cechowych panowie starsi uważali za moralne postępki członków swojego rzemiosła. Ustawa n. p. rzeźników kobylińskich z r. 1559 powiada, że „gdyby się trafiło kilku braciom być na jarmarku w innych miastach, albo gdzieindziej, a tamby poswarki między sobą poczęli tak, iżby sobie jakich niepoczciwych słów pozadawali, a tedy by się bracia na nich dowiedzieli, tego któryby był winien, ma być karan kamieniem wosku; a gdyby na gospodzie przy innych ludziach, albo też bratu takimby obyczajem wystąpił, takowy ma być karan kamieniem wosku, a gdyby się targnął ręką albo bronią, tedy ma być karan dwoma kamieniami wosku“. Dalej taż ustawa orzeka: „aby bracia w jatkach przy przedawaniu uczciwie i ochędożnie żyć mieli, tak w słowiech, jako i szaciech. W słowiech, aby żaden na ludzie i na braci się nie targał słowy nieuczciwemi a niepotrzebnemi pod winą kamienia wosku. W szaciech, aby każdy ochędożny był, to jest aby bez ubrania w jatkach nie chodził, ani przedawał, ale aby w sukni długiej, albo żeby fartuchem długim był przepasan, tak, iżby bosych nóg nie okazywał, chybaby do tego przyczyna była, pod winą sześciu funtów wosku“.

Tego rodzaju paragrafy znajdujemy we wszystkich ustawach cechowych naszych rzemieślników. Przykład zaś „gdyby na którego brata skarga przyszła, albo żeby się bracia sami dowiedzieli, to jest, aby sobie który niefortunnie i nieobyczajnie poczynał, tak żeby cudzych rzeczy gdziekolwiek ruszał, takowy ma być złożon z rzemiosła tak długo, póki się nie usprawiedliwił w czemby mu winę dano“, albo drugi „jeżeliby który brat albo towarzysz zastawił suknię albo co innego na grę, takowy ma być karany pół kamieniem wosku“, dostatecznie stwierdzają moralną opiekę, jaką rozciągał zarząd cechowy nad całem stowarzyszeniem.

Ustawy cechowe wglądają nawet w sprawy długów zaciąganych przez braci. Wedle nich więc „jeżeliby też komu z braci w cechu od kogokolwiek winę dano albo skarżono o jaki dług, a kternu by się przyznał, tedy ma mu być skazana zapłata za dwie niedziele pod winą wosku funtów sześć. Jeżeli wtóry raz, także pod tą winą, jeżeli trzeci raz, ma być karan kaźnią miejską“. Nie łagodniej karały tego rodzaju przestępstwa inne rzemieślnicze cechy, widzimy tego liczne przykłady w każdej ustawie.

Żeby szerzej zapobiegać demoralizacji, wynikającej z braku pieniędzy, niektóre cechy miały u siebie rodzaj kasy pożyczkowej, z której na pewną gwarancję udzielano pożyczek. Odnosiło się to szczególniej do wchodzącego w zwyczaj zastawiania powierzonego rzemieślnikowi materjału. Stąd znajdujemy paragraf w ustawach cechu płócienniczego miasta Kobylina z r. 1639 orzekający, iż „mistrz, któryby zastawił ludzką robotę kędy indziej, krom skrzynki brackiej, z której każdemu na potrzebę ma być dano, a gdyby był przeświadczon, ma być karan pół kamieniem wosku“. Oczywista, że ustawa miała tutaj na względzie i samą możebność zdyskredytowania cechu w obec publiczności, mogącego łatwo wyniknąć przez zastawy cudzej przędzy w miejscach pozacechowych.

W ogóle brane ustawy cechowe wykazują dążność do umoralnienia braci rzemieślników. To też pijaństwo, wszelkie gry, kłótnie, nierząd i wiele innych wad, ustawy cechowe zawsze ściśle przestrzegają, karząc winnego brata za każde podobne przestępstwo grzywnami. Gdy się zaś wydarzyło, że przestępca się nie poprawił, karano go więzieniem miejskiem, a częstokroć pozbawiano prawa prowadzenia rzemiosła. Również pod ostre paragrafy były podciągnięte dni próżniacze, jeżeli by się ich którykolwiek mistrz dopuścił. Nie uwzględniał więc statut cechowy żadnych dni świątecznych, oprócz tych, które kościół i zwyczaj narodowy uświęcił.

Ciekawy także jest stosunek ustaw cechowych do wdów po zmarłych rzemieślnikach. Cech cały rozciągał nad niemi pewnego rodzaju patronat. Oprócz tego, że zezwalał zawsze wdowie na prowadzenie warstatu bądź samej, bądź przez towarzyszy, czyli czeladź — baczył nadto na jej moralne prowadzenie się. Jeżeli się więc: „wdowa będzie uczciwie i przystojnie w owym stanie zachowywała, może do śmierci swej to rzemiosło robić i czeladź chować“. W przeciwnym jednak razie tj. „gdyby nieuczciwie i nieprzystojnie żyła, tego rzemiosła robić nie ma, ani czeladzi chować, lecz jeżeliby szła zamąż za towarzysza tego rzemiosła, tedy takowy mąż jej jako mistrzowicz wszystko wypłacić i służbę braci będzie powinien a nie więcej“. Ostatnia uwaga odnosi się do wyzwolin towarzysza na mistrza, o czem powiemy niżej.

Pod takiemi tedy warunkami wolno było wdowie prowadzić dalej warstat po nieboszczyku mężu. Skoro jednak wyszła za mąż za niefachowego człowieka, albo gdy jej nowy małżonek był innego rzemiosła niż nieboszczyk, natenczas warstat musiała zwinąć, i czeladź innym mistrzom odstąpić.

W ogóle kwestja małżeństw zastanawiała ustawodawców cechowych, a to jak się zdaje,

ze względu na rozwój moralnych rodzin rzemieślniczych. Pojmowano widocznie doskonale ważność moralnej rodziny w społeczeństwie, więcej może nawet jak się to dzisiaj dzieje. Szczególniej ustawy cechowe kładą nacisk na mistrzów rzemieślniczych. Stąd też kawaler mistrz obowiązany był żenić się jak najrychlej, do czego chcąc prędzej nakłonić, ustawy cechowe obowiązują stan kawalerski różnego rodzaju karami, które owi sławetni bracia dotąd musieli ponosić, dopóki się nie pożenią. Najwyżej rok jeden wolno było mistrzowi być kawalerem bez płacenia grzywien, po roku zaś kawalerstwa musiał je ponosić. Dość tu przytoczyć paragraf 13. ustawy wszystkich cechów miasta Kalisza z r. 1657, który opiewa, że „któryby z braci robiąc które z rzemiosł nie ożenił się w przeciągu roku, powinien dać do bractwa na kamień wosku grzywien pięć, i tak każdy rok, póki się nie ożeni". (L. Hubert. Pamiętniki T. I.)

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Dnia pierwszej naszej wycieczki, ułożonej w celu zwidzenia posiadłości Shabundera, posileni rannem śniadaniem, siedliśmy w łódź zaopatrzoną w tęgich wioślarzy. Zabrano także nieco prowiantów, a gospodarz domu, w chwili złączenia się z nami, zwrócił się do pań używających przechadzki nad uroczemi brzegami bassenu.

— Nie proponuję paniom przejażdżki z nami, gdyż dzień dzisiejszy będzie dniem trudów dla tych panów; chcę im pokazać moje prace. Za to jutro możecie się panie zrewanżować... ale, przychodzi mi na myśl — dodał obracając się do żony — czemu byś moja duszko, nie miała zabawić p. Anquetil, małą partją rybołostwa? Po objedzie wracając, gdy zastaniemy panie przy zajęciu, z uciechą ujrzelibyśmy, jak się wam szczęścić będzie.

Rzecz widocznie była już poprzednio ukartowana, pani domu przystała chętnie na propozycję. Shabunder, zanim wstąpił do łodzi, odezwał się do mego murzyna.

— Pan twój pozwolił mi dysponować dziś twoją osobą Józefie; ponieważ nie polujemy, rozkazałem kuchmistrzowi by ci służył wszystkiem, czego zapotrzebujesz. Pamiętaj więc o naszych podniebieniach. Do widzenia moje panie.

Józef na to skrzywił się nieco, jednem jednak spojrzeniem przywołałem go do porządku. Shabunder wskoczył do łodzi i odbiliśmy od brzegu, Lugle i dwaj marynarze assesora z nami.

Shabunder objaśniał nam swoją metodę, wskazywał położenie wód, głębokość stawów, pokłady, na jakich się znajdują, produkta jakie wydają. W naszej przytomności kazał łowić korale, perły, muszle, i za każdym razem, musieliśmy uznać dokładność jego twierdzeń, znajomość rzeczy i trafność teorji, wprowadzonej w praktykę.

Większa część muszli, tak jedno jak dwuskorupnych, mają w swem wnętrzu substancję wapienną, gładką i lśniącą, srebrzystej białości, z odbiciem blasków tęczowych, którą zwiemy perłową macicą. Stosownie do natury skorupiaka, pokład ten formuje grubszą lub cieńszą warstwę, różni się znacznie świetnością blasków, i potrzebuje mniej lub więcej długiego czasu do swego wykształcenia, a także niejednakowej głębokości wody. I tak: jedne muszle, by wydać piękny produkt, muszą mieć 20 do 25 sążni wody, innym 3 — 4 wystarcza. To znów muszle wielkości 5 do 6 centimetrów, produkują o wiele cenniejszą warstwę, niż te, które dochodzą od 25 do 30. Są także jednoskorupne, przechodzące w cenie dwuskorupne, i odwrotnie.

Czemu jednak przypisać formację anormalną, zbliżoną bardzo do warstwy wewnętrznej, o której mówiliśmy, rodzaj narości, przystający do jednej z dwóch skorup, a zwanej perłą? Niewypadnież podciągnąć go do rzędu chorobliwych skłonności, nadmiaru klejowatości galarecianej, jaką się żywi mięczak, wadliwości wydzielania w organizmie zbytku pierwiastków, tworzących warstwy perłowej macicy. Być może, że obce ciało powoduje właśnie ten zbytek materji, która skupia się około przedmiotu warstwami spółśrodkowemi, podczas gdy formacja perłowej macicy odbywa się pokładami płaskiemi, różnośrodkowymi. Dość na tem, że perła jest zawsze rodzajem perłowej macicy, a swoją formę, blask kolor, winna okoliczności, która wpłynęła na odmienną jej strukturę.

Wielkość, kształt, ciężkość, woda i kolor perły stanowią jej cenę; gdy te warunki znajdą się zebrane, dochodzi ona do wysokiej wartości. Gdy gładka, lśniąca, opalowej białości, mówi się że jest pięknej wody, jeżeli zaś wpada w cień mieniący, nazywa się pięknego koloru. Kształt podłużny i całkiem okrągły jest najwięcej ceniony, ciężkość świadczy o ścisłości ziarn, wielkość podnosi resztę zalet. Perły wpadające w cień żółty, lub różowy, wcale nie są poszukiwane; również koloru ołowiano niebieskawego, i odznaczające się dziwacznością kształtów lub bardzo drobne; wszystkie one nie mają wielkiego odbytu i używane bywają do wysadzania przedmiotów zbytkowych.

Chińczycy, którym nic nie jest zaporą, gdy idzie o rozszerzenie stosunków handlowych, w braku portu w niższej Birmanji, nim jeszcze miasta Rangun i Maulmein stanęły, wyszukali sobie przystań u samego ujścia rzeki Tdóo do Irrawady, którą do dziś nazywają zatoką Chińczyków, i przypływali swemi łodziami prowadząc handel wymianowy. Połów korali, ostryg perłowych i muszli, trwa tylko w oznaczonych porach, przez resztę roku nurki robią się marynarzami, i wielu z nich rocznie odwidzało improwizowany port niższego Pegu. Shabunder, gdy powziął był myśl urzeczywistnienia swoich projektów, spotkał przypadkiem nad zatoką człowieka, odpowiadającego zupełnie jego widokom i zamiarom. Zwabił go do siebie, co było nie trudnem. Chińczycy bowiem, oprócz że są bardzo sprytni w różnych gałęziach przemysłu, nie gardzą nigdy najmniejszą okazją zysku. Człowiek ów, zręczny w swoim zawodzie, w przeciągu dwóch lat nauczył służbę Shabundera, co tylko sam umiał, wreszcie rozpił się i umarł. Śmierć jego nie przyniosła strat, ludzie Shabundera byli już dostatecznie obznajomieni w tego rodzaju przedsiębiorstwie, i między innemi szczegółami, mieli dokładną wiadomość o sztucznem powiększaniu pereł, osiąganem z pomocą reakcji wywołującej działanie natury.

Po uskutecznieniu połowu ostryg perłowych w jednym oddziele, pozostawia się je potem przez lat parę w zupełnym spokoju, aby nie wyczerpać zasobu. Jeżeli mają być utworzone nowe działy, wybiera się w przypuszczeniu takie egzemplarze, o których mniemać można, że będą mnożne, co, mówiąc nawiasem, jest rzeczą nader trudną do rozpoznania; resztę zjadają, odrzucają, lub niszczą. Chcąc zaś w sztuczny sposób otrzymać perły, zamiast odrzucać takie, co się wydają niepłodnemi, przewierca się nadzwyczaj cienkim świderkiem pierwszą ich skorupę uważając by dalszych nie nadwerężyć, poczem w otwór wkłada się igłę, ucinając ją równo z powierzchnią skorupy, i napowrót wrzuca do wody. W przeciągu pewnego czasu we wnętrzu muszli, w miejscu, gdzie doszedł koniec świderka, tworzy się perła. Produkcje takie nie przechodzą nigdy średniej wielkości, a najczęściej są nawet bardzo małe, i chociaż błyszczące, mają kolor ołowiano niebieskawy, mało cenione. Z tem wszystkiem są to prawdziwe perły. Przy operacji tylko trzeba zachować wielką ostrożność, żeby nie dosięgnąć drugiej warstwy skorupy, przezco mięczak byłby narażony na dotknięcie mogące go zabić; w takim razie perła nieutworzy się i warstwa perłowej macicy zostaje uszkodzoną.

Są jeszcze muszle wielkiej ceny, jednoskorupne, zwinięte w kształcie ślimaka, z których po przerznęciu piłkami wyrabiają braselety i okowy na nogi. Jeżeli wyrób jest ładny, dochodzą one do szalonej wartości, jest to bowiem ulubiona ozdoba bajader, figurujących w uroczystościach religijnych braminów; sławne piękności obejść się bez nich nie mogą, a faworyty, żony i córki wielkich i bogatych osobistości, muszą je posiadać koniecznie.

Najmozolniejszą produkcją jest koral. Substancja twarda, kamienista, rozrastająca się własnościami roślinnemi, i zawierająca w sobie wielką ilość polipów czyli zoofitów. Ponieważ wzmiankowany zwierzokrzew wegetuje na dnie wód w różnych warunkach głębi, spróbowano sztuczną drogą przesadzenia ich w przygotowane basseny, uzyskać produkcję koralu. Przedsięwzięcie takie wymaga wielkiej pracy, zwierzokrzew przyrośnięty jest samą podstawą, a nie siecią korzeni rozszczepionych po skałach, jego substancja twarda wymaga pięciu, często sześciu lat do nabrania stosownego rozmiaru, więc też bardzo wiele potrzeba wkładu pieniędzy, cierpliwości, zręczności i roztropności, by skutek odpowiedział usiłowaniu.

W pobliżu ostatniego bassenu stał budynek, którego główny korpus mieścił sale fabryczne w nich obrabiano muszle, perły, korale. W mieszkaniu inspektora zastawiono nam śniadanie, poczem zajęliśmy się dokładnem zwidzaniem warsztatów.

Co się tyczy przyborów, narzędzi, maszynerji, nieznalazłem nic, coby się dało porównać z przyrządami zakładów w Europie. Ale za to Birmani obdarzeni są tak wielką cierpliwością, tyle mają gustu i zręczności, że byłem zdumiony delikatnością i wykończeniem przedmiotów mi ukazanych.

Perłowa macica raz oddzielona od skorupy, była gatunkowana i składana warstwami, mającemi z sobą podobieństwo barwy, długości i grubości. Piłowanie, prostowanie brzegów, obcinanie, dokonywane było narzędziami zupełnie pierwotnemi. Pomimo to, widziałem kawałki obrobione do fornirowania, grzebienie, rękojście sztyletów, szachy tak misternej roboty, że europejscy mistrze niepowstydziliby się takiego kawałka.

Na perłowe ostrygi zwracano największą uwagę. Żeby ich przy otwieraniu narzędziem nie

uszkodzić, wystawiano je po wyjęciu z wody przez parę godzin na działanie powietrza, aby się same otworzyły. Wyjmując perłę, odpiłowano ją ostrożnie u samej podstawy, a po wyjęciu ciała obcego, któremu zawdzięczała swoją formację, została ujętą w metaliczną oprawę, poczem odłożono ją na miejsce przeznaczone. W małych zaś okazach przebijano od razu dziurki i nizano je na sznurki.

Koral oczyszczony ze swej powłoki, był odrzynany wedle długości kształtu i grubości gałązek. Ułamki odpadające tłuczono na proszek, używany do czyszczenia zębów i polerowania metalów. Sprzedają go także jako środek leczniczy, używany w Indjach. Muszle chauk obrabiane są z niemniejszem staraniem, tembardziej że kruche, i w robocie często się rozszczepiają i obłamują.

Ponieważ zaprowadzenie stawów nie sięgało jeszcze zbyt dawnych lat, wydane okazy nie mogły poszczycić się niezwykłą wielkością, za to odznaczały się ilością i gatunkiem, i w przyszłości obiecywały nie małe powodzenie.

Co zaś do pieców dla palenia ciał mięczaków, te ze względów sanitarnych stały w znacznem oddaleniu od mieszkań. Popiół z nich osiągany służył jako nawóz, i ażeby nic nie poszło marnie, resztki skorup składano w stosy, gatunkowano, części proszkowate szły na gotowanie i z tych tworzono rodzaj wapna a raczej cementu. Kawałki potłuczone mięszane z szutrem rzecznym i okruchami cegieł, służą do murowania gmachów. Oba te przedmioty przewożono wodą do Rangun i Maulmein.

Drugi folwark dość odległy od poprzedniego, oddany był produkcji soli. Miał swój osobny zastęp służby, swoją marynarkę, zatokę z bulwarami, przystań i wszelkie przyrządy. Gdyśmy przybyli na miejsce, stała w pogotowiu do odpłynięcia flotyla wyładowana solą. Assesor obejrzał w urzędowej formie transport i rozpoczęliśmy przegląd zakładu.

Sól popielata i sól morska osiąganą bywa z piasku, przesiąkłego słoną wodą, który zbierają po wybrzeżach i nakładają go w duży dół, rodzaj wielkiej kadzi, z dnem wysypanem drobnym żwirem. Do tej kadzi nalewają wody z morza w stosownej ilości, i dozwalają jej wyparować. Sól biała wydobywa się z bagien solnych. W czasie przypływu morza, za podniesieniem szluz na to urządzonych, woda zalewa płaszczyzny bagniste. Po ulotnieniu się wody zbierają osad, i ten składany w stosy zostaje przykryty rogożami, póki nie oschnie zupełnie. Chociaż sól taka jest białą, potrzebowała by jeszcze oczyszczenia, ponieważ brudzi się nieco od działania powietrza. Ale w Birmanji na takie drobnostki nie zwracają zbytniej uwagi. Zajmowano się tam także wyciąganiem rodzaju solnej ziemi, używanej do konserwowania ryb, które u Birmanów stanowią główną część pożywienia. Ziemia taka pochodzi ze stawów, zostających w komunikacji z morzem, i ma wiele podobieństwa do natrum, czyli węglanu sody, pomieszanego z siarczanem sody, jakiego w starożytności używali do konserwacji umarłych. Tylko zamiast dozwolić słońcu wywrzeć cały swój skutek, wysuszyć powierzchnię jeziora, i stworzyć glinę twardą, nieczułą na działalność powietrza, zgartują muł, zanim jeszcze woda całkowitem wyparowaniem utworzy właściwy natrum, i osiągnięta ztąd ziemia tłusta, mało słona, przesiąkła sodą i kwasem węglowym, stanowi ową glinę, która od czasu do czasu skrapiana, zabezpiecza ryby od psucia, i ułatwia transport takowych do oddalonych miejscowości. W ten sposób zakonserwowane ryby, po miesiącu są jeszcze zupełnie świeże. Środek ten mimo strony pożytecznej, nie jest wcale przyjemny, równie dla oka, jak i powonienia. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

I.

Skąd się wziął Tydzień w „*Tygodniu?*“ zapytasz łaskawy czytelniku.

Oto stąd:

Nowa redakcja ma pewne swoje wyobrażenia o zadaniach pisma, podobnie jak każda inna redakcja na świecie. Sądzi ona, że celem pisma czasowego, w przeciwstawieniu do książki, powinno być przedewszystkiem obznajmianie czytelników z bieżącemi sprawami życia, bliższego i dalszego, że kto prenumeruje pismo tak obszerne jak „Tydzień“ powinien mieć tę wygodę, żeby oszczędzając czas i pracę, mógł jednak wiedzieć o wszystkiem, co tylko ważniejszego stało się w świecie, w kraju i za granicą, a to o tyle, o ile tylko program na to pozwala. Powinien wiedzieć co nowego zrobiono na polu naukowem — jakie nowe znaki życia daje sztuka nasza, nasze piśmiennictwo, nasze życie narodowe i ekonomiczne, wreszcie choćby i to, jak się bawimy, jak sobie życie uprzyjemniamy. A ponieważ bliższa ciała koszula, niż sukmana — zaczynamy od naszego wielkiego miasteczka. Choćbyś czytelniku mieszkał o sto mil od Lwowa, musisz wiedzieć, co się w nim dzieje, i to wiedzieć podwójnie. Wszystko bowiem na świecie, ma dwie strony; poważną i wesołą. Jednę znajdziesz w „Tygodniu lwowskim“, dzięki licznemu gronu stałych i specjalnych sprawozdawców — drugą w „Pogadankach“, dzięki talentowi p. Lama, który odgraża się, że nas wszystkich zrównoważy.

Będziesz więc miał, czytelniku, „wóz i przewóz“ — ale musisz jechać z nami ręka w rękę, poważny czy wesoły, jak zechcesz. Co ci się nie podoba to zganisz, co będzie dobrem to poprzesz — a my też będziemy ci mówili szczerze co i dla czego, uważamy za złe lub za dobre. A więc: krytykujmy się, ale kochajmy się!

* * *

(O.) Jeżeli gdzie, to u nas, pole spraw publicznych brukowane jest dobremi chęciami. Nigdzie ich nie ma tyle co u nas, i — powiedzmy to sobie na ucho — nigdzie się tak mało nie robi, jak u nas. Może nie z naszej winy? Mniejsza o to. Dość, że jeżli się cośkolwiek robi, to o tem wiedzieć powinniśmy i nie tylko wiedzieć, ale i popierać zarazem. Chlubimy się naszą sztuką, naszym Matejką i Siemiradzkim, Moniuszką i Wieniawskim — ba! nawet autorem „Ducha Wojewody“, od czasu jak Niemcom do smaku przypadł, a zapominamy o tem, że przedewszystkiem na polu **naukowem** powinniśmy obcym wyrównać, jeżeli chcemy, ażeby nas nie uważano za umarłych. Dobrze że mamy sztukę, ale miejmyż i naukę, taką, z którąby się można przed obcemi pochlubić. A my tymczasem w tym kierunku najmniej robimy. Konkursów naukowych prawie nie ma, są tylko dramatyczne, pism specjalnych bardzo mało, stowarzyszeń jeszcze mniej. Dlaczego? Bo ogół za mało czuje, że obowiązkiem narodowym jest popierać prace specjalistów, że nie pojedynczy mecenasi, ale naród cały powinien wziąć do serca sprawę nauki i interesować się nią tak, jak poezją, muzyką lub malarstwem. A któż dziś n. p. dba o rozwój pism specjalnych, stowarzyszeń naukowych, uniwersytetów nawet? Większa część wykształconych czytelników nic o nich nie wie, pisma codzienne zaledwie raczą zrobić wzmiankę i to nie zawsze, gdy się im pośle wiadomość o posiedzeniu towarzystwa naukowego — a uniwerstytetem interesują się wtedy chyba, gdy jakiś wyjątkowy wypadek, przez Wiedeń dojdzie do ich uszu.

Tak być niepowino. Ludzie zajmujący się nauką powinni czuć swoją łączność z narodem a naród z niemi. Oni nie powinni się zasklepiać w sferze specjalności, a ogół powinien popierać ich usiłowania, interesować się niemi, zajmować się niemi i czuć, że te nasze prace naukowe, że ci nasi uczeni, to najlepsza reprezentacja wobec dworów i ludów, a przynajmniej wobec ludów; bo za nią idzie siła ducha, która dziś już przeważa nad pięścią.

* * *

(O.) A teraz, łaskawy czytelniku, pozwól, że przyjdziemy od teorji do zastosowań.

Dnia 30 Stycznia odbyło się zwykłe posiedzenie Towarzystwa przyrodników polskich imienia Kopernika we Lwowie. Zapewne nie wiele wiesz o niem — i nic dziwnego, bo nawet prostą wzmiankę nie wszystkie pisma podały — a przecież, było to posiedzienie wyjątkowo świetne, które miastu i krajowi chlubę przyniesie. Z trzech odczytów, wszystkie trzy zawierały rzeczy nowe na własnych badaniach oparte. I tak: Profesor T. Ciesielski mówił o bakterjach zgnilcowych. Co to kogo obchodzi? zapytasz; przepraszam, to bardzo obchodzi jedną z najdawniejszych gałęzi naszego przemysłu. Trzeba bowiem wiedzieć, że bakterje są to małe istotki, gołem okiem niewidzialne, które dawniej zaliczano, to do roślin, to do zwierząt, a które dziś stanowczo do pierwszych, mianowicie do grzybów są liczone, ponieważ mogą się żywić amoniakiem, czego zwierzęta nie potrafią. Trzeba wiedzieć, że są one wszędzie i to często tam gdzie ich najmniej potrzeba, a chociaż takie małe, wywołują bardzo znaczne zmiany chemiczne, składy i rozkłady, fermantacją, gnicie i t. p. Między innemi, jako nieproszeni goście zakradają się do naszych ulów niszcząc poczwarki pszczół. Otóż profesór Ciesielski, który pszczolarstwem zajmuje się specjalnie redagując „Bartnika“, jeszcze w r. 1873, sprowadził sobie z nad Renu masę zgnilcową tych poczwarek, i badał ją starannie przy pomocy najlepszych mikroskopów. W ten sposób doszedł do wykrycia, czem jest ten niewidzialny wróg pszczolego rodu i jak się rozwija. Obecnie pracuje dalej nad tym przedmiotem, a ma zamiar także zbadać inne gatunki bakterji, która się nazywa *Bacillus*. A jest ich dosyć; jeden działa przy fermentacji mleka i kumysu i nad tym prof. Ciesielski prowadzi studja przy pomocy p. Ihnatowicza, inny wkrada się do ciała ludzkiego, wywołując zapalenie śledziony i t. p. Nie są to więc rzeczy, które nikogo nie obchodzą, a jeśli dodamy przytem, że prof. Ciesielski stara się wykryć i najlepsze sposoby niszczenia tych drobnych pasożytów, to będziemy mogli mieć nadzieję nawet praktycznego pożytku z tej pracy.

Profesor B. Radziszewski opowiedział ostatnie swe badania nad świeceniem ciał organicznych. Są to prace całkiem nowe, a rezultaty

ich tak ważne i ciekawe, że niezadługo zwrócą na siebie uwagę całego świata chemicznego, a i dla fizyków nie będą bez interesu. Dotychczas organiczne płyny świecące nie były znane, a prof. Radziszewski wykrył cały ich szereg i już nawet objaśnił w znacznej części przyczynę świecenia w ciemności. Okazało się że:

1. Te ciała świecą, w których zmiany chemiczne odbywają się niesłychanie powolnie, że im wolniejszy rozkład tem widoczniejsze świecenie.

2. Ze świecenie zależy od obecności tlenu już to w wodzie zawartego już też umyślnie przepuszczanego przez płyn i to w tym stopniu, że dodanie go powiększa białawą jasność brunatnego płynu, pozwalając rozpoznać godzinę na zegarku — a wstrzymanie zupełne tlenu, niweczy objaw świecenia.

3. Że do 65° ciepła świecenie wzrasta, potem maleje a przy temperaturze wrzenia wyskoku, ginie, choć może się zacząć na nowo przy dodaniu świeżej, zresztą nadzwyczaj małej ilości tlenu.

4. Że ciałami świecącemi (amarina, lofina i t. p.) są te, które w obecności potażu żrącego rozkładają się na aldehyd i amonjak, przyczem pierwszy pochłania tlen.

Są to jednak zjawiska, których zapomocą samego chemizmu objaśniać nie można, podobnie jak nie można tłómaczyć samem działaniem chemicznem tajemniczego wpływu trucizn takich jak: kwas pruski, kurara, strychnina i t. p. lub narkotyków jak haszysz na organizm ludzki. Niesłychanie mała ilość materji i w niesłychanie krótkim czasie zdolna jest zarówno wywołać świecenie masy ciemnego płynu, jak i śmierć najzdrowszego człowieka. Prof. Radziszewski słusznie te fakta zestawił, widząc w nich przewagę pewnego ruchu cząsteczkowego, prawdopodobnie samego eteru, już to w formie prądów świetlnych, już też nerwowych, przewagę, która właśnie kosztem czysto chemicznych przemian powstaje.

Wszystko to kochany czytelniku, powinno cię obchodzić o tyle przynajmniej, że świat uczony w krótce mówić będzie o naszych pracach uczonych i że taki p. Sues nie będzie miał prawa lekceważyć sobie naszej wszechnicy.

Wreszcie prof. Niedźwiecki przedstawił niektóre piękne i ciekawe minerały galicyjskie. Większość ich pochodziła z Kałusza od p. Piotra Monasterskiego, obecnie asystenta przy katedrze chemji w Akademji technicznej. Nie będziemy tu wyliczali szeregu ślicznych okazów krystalicznego gipsu, kwarcu, kalcytu i t. p. wspomnimy tylko o jednej, nieznanej dotąd formie krystalicznej soli kuchennej, w której sześcian łączy się z czworosześcianem.

Czyż to niedosyć na jedno posiedzenie skromnego Towarzystwa, które dopiero rozwijać się zaczyna?

Sens zaś z tego wszystkiego jest taki, że kto ma kilka reńskich rocznie do użycia na dobre cele, niech wstępuje do Towarzystwa Przyrodników.

* * *

(X) Z nowości teatralnych zanotować nam przedewszystkiem wypada nową jednoaktową komedję nieodżałowanej pamięci Al. Fredry, pod tytułem „Dwie blizny“. Utwór to niepospolitych zalet. Koloryt nadzwyczaj świeży, charaktery sympatyczne i swojskie, intryga dowcipnie zawiązana. Tło sztuki jest przepyszne; rzecz się dzieje we dworze, w „Amazońskim grodzie“ jak go Warszawa nazwała, ponieważ mieszkańcami jego trzy niezamężne kobiety: Kasztelanowa (p. Aszperger), młoda wdowa po starym jenerale (p. Woleńska) i rezydentka Figaszewska (p. German). Postacie te cudnie narysowane. Kasztelanowa typ dawnej pani, zajmuje się dyplomacją domową i układaniem małżeństwa kuzynki, zdaje się jej, iż wie o wszystkiem i wszystko przewiduje; młoda jenerałowa świeża i hoża wdówka, jedna z najsympatyczniejszych postaci Fredrowskich; Figaszewska zajmuje się od rana do wieczora robieniem pończoszki, milczy prawie zawsze, drzymie, odzywa się tylko na apostrofy kasztelanowej powstając z należną rewerencją; trójca ta niewiast jest wyśmienitą. Z postaci męskich wchodzą dwie na scenę: wojak i dyplomata. Jeden dziarski, tęgi, bierze wszystko po żołniersku, otwarcie, drugi zimny, wyrachowany, obawia się przedewszystkiem śmieszności i nakoniec by jej nie uledz usuwa się z akcji. Intryga zajmująca, chociaż, powiedzmy otwarcie, niezbyt nowa. Qui pro quo jest jej podstawą; młoda wdówka jenerałowa ma wyjść za mąż za dyplomatę sekretarza ambasady (p. Ładnowskiego). Młodzi ludzie się nie znają, lecz małżeństwo jest oddawna ukartowane między rodzinami i kasztelanowa stara się wszelkiemi siłami doprawadzić po skutku. Dyplomata wraca z zagranicy i chce w przód incognito poznać swą przyszłą. Zawiadamiają o tem kasztelanowę i donoszą, iż pozna go po bliźnie nad okiem. Tymczasem zanim dyplomata nadjechał, zjawia się kapitan zatrzymany w podróży ulewą, posiadający także bliznę nad okiem. Kasztelanowa przekonana, iż to sekretarz, pomaga i ułatwia mu zawiązanie stosunków z jenerałową; młodzież od razu się pokochała. Tymczasem przybywa prawdziwy sekretarz, także z blizną nad okiem; następuje zamięszanie w domysłach pani kasztelanowej. Nareszcie zręcznym fortelem, kapitan i jenerałowa utrzymują kasztelanowę w przekonaniu, że kapitan jest prawdziwym, oczekiwanem Alfredem, młoda para odjeżdża en deux na spotkanie kuzynki. Tymczasem prawdziwy sekretarz po dłuższej rozmowie i wręczeniu listu od stryja okazuje jej omyłkę. Następuje scena rozpaczliwa. Kasztelanowa przygnieciona tym dowodem swej niedomyślności, dyplomata obawia się narażenia na śmieszność, co jak sam powiada, gorszem jest dlań od śmierci i nie pozostaje nic innego jak pogodzić się z losem i po powrocie z kuzynką, młoda para otrzymuje błogosławieństwo.

To jest treść sztuki; jak na jednoaktową akcji jest bardzo wiele; charaktery skreślone ręką mistrza. A co najważniejsza, od obrazka całego wieje jakaś woń swojska, urocza, przez cały czas czujemy się przyjemnie rozkołysani, wszystkie postacie albośmy widzieli, albo też doskonale znamy z tradycji.

Radzimy szczerze, idźcie zobaczyć!

Gra artystów, szczególniej zaś p. Aszperger, która po raz pierwszy po długiej chorobie wystąpiła, była wyśmienitą. Przyznać należy, iż pośmiertne dzieła mistrza dotąd wystawione, są wystudjowane do najdrobniejszych szczegółów.

* * *

(X.) Na przyszły tydzień przedstawiają „Daniszewów“, sztukę osnutą na tle stosunków rosyjskich, która tyle hałasu narobiła swego czasu w Paryżu. Niedługo ujrzymy także ś. p. Fredry jednoaktowe komedje: „Świeczka zgasła“ i „Z jakim się wdajesz takim się stajesz“. W marcu zaś wystawionym będzie dramat ulubionego we Lwowie pisarza Kaź. Zalewskiego pod tytułem Marco Foscarini.

* * *

(L.) W tych dniach opuściło prasę drukarską „Sprawozdanie z czynności Zakładu nar. im. Ossolińskich za r. 1876,“ z którego następujące wyjmujemy daty o wzroście i pracach naukowych tej instytucji:

W r. ubiegłym wydał oddział naukowy Zakładu trzy publikacje: „Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego,“ „Sprawozdanie z r. 1875 i Autobjografją Jerzego Ossolińskiego.“ Równocześnie starano się gorliwie o rozszerzenie stosunków z innemi instytucjami naukowemi. Za pośrednictwem jednego z naszych miłośników nauk i rzeczy ojczystych zawiązano bliższe relacje z petersburską „Komisją rządową, zajmującą się wydawaniem państwowych pism i rozpraw,“ z Towarzystwem geograficznem w Petersburgu i archeologicznem w Moskwie, z moskiewską Akademją duchowną, odeskiem Towarzystwem historji i starożytności i południowo-zachodnim oddziałem Towarzystwa geograficznego w Kijowie. Towarzystwo muzeum narodowego w Rio de Janeiro w Brazylji oświadczyło się z gotowością nadsyłania pism przez siebie wydawanych, załączając Iszy zeszyt swojego „Archivos do Museu nacional.“ Wskutek zawiązania tych nowych stosunków otrzymała bibljoteka Zakładu znaczny nabytek w wydawnictwach pomienionych instytucyj, tem cenniejszych, iż dzieł tych nie posiadała dotąd żadna z bibljotek publicznych we Lwowie. Z darów znaczniejszych wymieniamy zapis śp. Teodora Torosiewicza, który cały swój księgozbiór, liczący przeszło 1.000 tomów, przekazał w testamencie Zakładowi. Z dzieł zakupionych przez zarząd bibljoteki na szczególniejszą zasługuje uwagę cały szereg wydawnictw treści geograficznej.

Niemniej pomyślnie rozwija się muzeum Zakładu; najlepiej świadczy o tem ciągle wzrastająca ilość gości, a mianowicie znakomitych artystów i uczonych, specjalnie poświęcających się archeologji, antropologji, numizmatyce itp. Bardzo chlubnem pod tym względem świadectwem jest zdanie znanego archeologa szwedzkiego Oskara Monteliusa, który jadąc na kongres archeologiczny do Pesztu, umyślną zrobił wycieczkę do Lwowa dla poznania zbiorów muzealnych Zakładu Ossolińskich. Znakomity ten badacz i znawca starożytności, niezmiernie był zadziwiony bogactwem niektórych działów, a przedewszystkiem wielką ilością i dobrem zakonserwowaniem zabytków przedhistorycznych. Po bliższe szczegóły pod tym względem odsyłamy szan. czytelnika do samego „Sprawozdania;“ tu musimy tylko dodać, że muzeum Zakładu Ossolińskich najlepszym jest dowodem, ile pod tym względem można zrobić przy umiejętnem kierownictwie, jakkolwiek nader szczupłych funduszach.

Po śmierci śp. Augusta Bielowskiego zaszły w oddziale naukowym Zakładu następujące zmiany: dyrektorem został dr. Wojciech Kętrzyński, dotychczasowy kustosz bibljoteki, kustoszem zaś dr. Aleksander Hirszberg, który dotąd był sekretarzem naukowym. Równocześnie została zwiniętą posada sekretarza naukowego, zajmującego

się dotąd wydawnictwami Zakładu, gdyż czynności te przeszły obecnie na dyrekcję; natomiast utworzono posadę skryptora, którą otrzymał p. Klemens Kantecki.

* * *

(M) Pan Wilhelm Leopolski, zaszczytnie znany artysta, wykończa obecnie obraz przedstawiajęcy przedśmiertne chwile Klonowicza. Treść tego dzieła nie jest nam obcą, bo artysta przed paru laty obraz podobny rozpoczął i chociaż nie ukończony zupełnie, wywarł on ogromne wrażenie na zwiedzających wystawę sztuk pięknych. Otóż jeżeli poprzednia praca nieukończona, a więc i niewystudjowana należycie, mogła wywołać tak chlubne uznanie dla artysty, to mamy niepłonną nadzieję, że obecna praca, którąśmy w jego pracowni oglądali, w wysokim stopniu zadowolni najwytrawniejszy gust artystyczny i da światu poznać artystę, którym się kraj nasz słusznie poszczycić może. Ze szczegółowem ocenieniem tego dzieła wstrzymamy się do chwili wystawy, którą artysta z prac swoich zamierza urządzić i która da nam możność wszechstronniejszego o jego talencie pomówienia.

* * *

(Z. R.) Z prawdziwie pocieszającym objawem na polu rolnictwa krajowego przychodzi nam dziś podzielić się z czytelnikami.

Wiadomo, że wartość użytkowa nasienia, zależy od procentu w niem prawdziwego i czystego ziarna, jak niemniej od procentu siły kiełkowania jego. Na sprawdzenie tej wartości gospodarz na wsi po większej części ani czasu, ani przyrządów nie posiada, nie mówiąc już o tem, iż często brak odnośnych wiadomości w tym względzie, na sprawdzenie takie nie pozwala. To też było pobudką dla niektórych handlarzy nasion, iż ufni w monopol, poczęli fałszować drogie nasiona przymieszką innych tańszych, a wreszcie rzucono się nawet do podrabiania drobnych nasion farbowanym piaskiem. Niedawno odkrytą została ogromna fabryka w Hamburgu niejakiego Hirschmanna i listy tego ostatniego ogłoszone w pismach publicznych, w których p. H. ofiaruje firmie Crater et Comp. w Londynie około 300 cetnarów piasku przeznaczonego do fałszowania koniczyny czerwonej po $3^1/_2$ talara za cetnar i taką samą ilość do fałszowania białej koniczyny po $4^1/_2$ tal. za cetnar! Nadto z zagranicznej prasy rolniczej dowiadujemy się prawie co miesiąc o nowych fałszerstwach, przyczem najczęściej używane są w tym celu kamyczki i nasienie kanianki.

To samo cośmy powiedzieli o nasionach, dzieje się i ze sztucznemi nawozami. Rolnik kupuje je u nas po największej części bez żadnej gwarancji ze strony sprzedającego, a najniebezpieczniejszą pod tym względem jest mączka kościana, która nieraz rozmyślnie zafałszowana najrozmaitszemi dodatkami, nie mającemi żadnej nawozowej wartości, naraża rolnika na wielkie bardzo straty.

Otóż w nr. 2 „Rolnika" z dnia 31 stycznia b. r. dwaj profesorowie szkoły roln. w Dublanach pp. dr. S. Kudelka i dr. R. Wawnikiewicz proponują kupującej te przedmioty publiczności rolniczej, aby od handlarzy nasion i sztucznych nawozów żądała gwarancji za dobroć towaru, a ponieważ u nas w całej Galicji nie ma dotąd stacji kontroli nasion i nawozów, jakie za granicą dla wygody rolnictwa od lat kilkunastu egzystują, p. Kudelka oświadcza, iż z całą gotowością wykonywać będzie prace w tym kierunku, o ile przyrządy w Dublanach na to zezwolą; p. Wawnikiewicz zaś prosi o przesyłanie mu nawozów do analizy do Dublan, gdzie w laboratorjum chemicznem może jej dokonać.

Sądzimy więc, iż pp. rolnicy nauczeni doświadczeniem odtąd żądać będą gwarancji za towar, który stosunkowo drogo opłacają, a odezwa pp. Wawnikiewicza i Kudelki nie pozostanie bez skutku. Tu tylko nawiasem nadmienimy, iż obawy o to, aby pp. handlujący na gwarancję taką się nie zgodzili, jeżeli są, są płonne, zagranica bowiem uczy, że byle tylko żądanie było ogólne, wszyscy mu ulegną, poddając się kontroli, inaczej daliby sobie sami świadectwo fałszerzy.

Pod względem objaśnień tyczących się formy żądania, jak niemniej sposobu przesyłki towarów tych do kontroli, odsyłamy czytelników do odnośnych rozpraw pomieszczonych we wspomnianym numerze „Rolnika."

* * *

(S.) I nasze miasto miało w tym tygodniu swój wielki évenement, a który do najprzyjemniejszych, do najroskoszniejszych nawet, w kronikach swego życia estetycznego zapisze. Oczekiwana od tak dawna i z takiem upragnieniem wizyta Henryka Wieniawskiego, ziściła się nareszcie, a z nią, naturalnie, prawdziwe dla nas uroczystości artystyczne. Jeżeli bowiem cała zagranica wielbi w Wieniawskim najpierwszego dziś skrzypka, to dla nas jest on czemś znacznie więcej jeszcze. To minstrel ducha polskiego co głoskami harmonji i pisze i śpiewa nietylko najpiękniejszą stronę przeszłości naszej, ale zarazem i drgające życiem nieśmiertelne nasze ideały. Powiedziano kiedyś o Wielkim Polonezie Szopena, że słuchając go zda się widzieć w wyobraźni duchy przodków naszych; posłuchajcie dzisiaj Drugiego Poloneza Wieniawskiego, jak on go wam zagra, a ujrzycie jasno całą Polskę żywą w jej krwi i jej kości.

Widząc dobrze jakiego to mistrza mieliśmy słyszeć pośród nas, robiliśmy sobie już z góry nadzwyczajne nadzieje; pokazało się jednak żeśmy nierównie mniej się spodziewali, aniżeli to wolno nam było czynić. To też przepełnionej za każdym koncertem sali Miejskiego Pałacu, nie wstrząsało nigdy jeszcze dotąd tyle i tak żywych oklasków i okrzyków uniesienia, a to przedewszystkiem ze strony najpiękniejszego towarzystwa znawców i miłośników sztuki, jak na tych festynach harmonji, które nam na zawsze we wdzięcznej pozostaną pamięci.

Co do bliższych szczegółów tych uroczystości radzibyśmy bardzo także je zaznaczyć, ale o wszelkiej właściwej krytyce żadnej tu mowy być nie może. Henryk Wieniawski ukazał nam się w takiej potędze, która przeszła wszystkie nasze największe nawet wymagania; za całą więc ocenę możemy to tylko powiedzieć, że obecnie gra tego wielkiego wirtuoza powinna być uważaną za *doskonałość*, za najwyższą skalę probierczą, za wzór do naśladowania.

Naturalnie, że to wszystko może być jedynie dla tych zrozumiałe, co mieli sposobność słyszeć osobiście tego wielkiego mistrza. Ale w jakiż sposób to wyrazić możemy dla tych co tej sposobności nie mieli? Niepodobna. Jeżeli im powiemy o zadziwiająco jasnej interpretacji przez Wieniawskiego najwyższych i najklasyczniejszych dzieł, o nieporównanem zachowywaniu przezeń właściwości stylu, począwszy od utworów największych klasyków: Bacha, Beethovena, Mendelsohna, aż do uchwyconego żywcem z wiejskiej strzechy — polskiego oberka; jeżeli im będziemy mówili o czarującej śpiewności tonów pod smyczkiem tego mistrza, który już to nas unosi w jakieś promienne światy swem anielskiem *cantabile*, już to wstrząsa do głębi całą istotę naszą olbrzymiej potęgi dramatycznym akcentem! Absolutny pan zdumiewającego mechanizmu, każe on skrzypcom swoim wyrażać wszystkie najrozmaitsze uczucia, przemawiać wszystkiemi głosami, a instrument słucha go jak dziecię. Tu wam się zda słyszeć flet mały lub zwykły, tam fagot; tu metaliczny głos klarynetu, tam stłumiony i miękki głos waltorni; ba! nawet wam się odezwą soprany kobiece obok barytonów lub tenorów męskich, a wszystkie stosownie do woli mistrza, do tego, gdzie i jak jego smyczek uderzy, choćby mu przyszło—jak to nieraz czyni—zacząć i prowadzić śpiew w 7ej lub nawet 10ej pozycji na czwartej strunie! Jeżeli więc to opowiadać będziemy, to któż jednak zdoła ztąd wyobrazić sobie jakkolwiek dokładnie te wrażenia, jakie gra tego mistrza na obecnych sprawia? Więcej nawet, bo wymienianie samych już ściślej technicznych szczegółów, nie wiele tu nauczyć może. Gdybyśmy naprzykład chcieli się zastanawiać nad zdumiewającą łatwością i spokojem, z jakiemi Wieniawski nadaje smyczkowi natychmiastowe zwroty w najgwałtowniejszych zmianach jego używania; że widać u niego prawie dotykalnie wszystkie rodzaje i odcienia w rodzajach smyczkowania; że gdy bije najpiękniejsze staccata (st. *élatistique*, st. *volant*) i to bądź w górę, bądź nawet na dół, potrzebuje na kilkadziesiąt nieraz nut zaledwie połowę lub jednej trzeciej smyczka i jeszcze jego resztę zaczyna następny spiew wiązanemi nutami; że jednym i tym samym smyczkiem i to nawet bądź samym końcem bądź u samego talonu wydobywa obadwa passaże najpiękniejszych a razem najtrudniejrzych arpeggiów, że jego legato we wszystkich możliwych pozycjach oprócz szczególniejszego wdzięku i siły w spadkowaniu wydaje się nadto jeszcze najczystszem *bariolage*. A cóż powiedzieć o jego gamach chromatycznych w szybkiem tempo, a prowadzonych jednocześnie na dwu strunach. (sextą zdaje się) i to ze zmianą ciągłą palców, albo o prowadzeniu całych śpiewów decymami — o ile naturalnie harmonja na to pozwala, — albo oktawami uderzając jednocześnie ciągły tryl na górnym tonie oktawy, a jaki to jeszcze tryl i w ilu odcieniach! Otóż to wszystko opisywać bynajmniej nie wystarcza, choćby przy każdej rzeczy po szczególe podnosić mistrzowską dokładność i piękność wykonania. Gdybyśmy zaś chcieli się zastanawiać jeszcze nad różnemi całkiem nowemi rodzajami smyczkowania jakich sam tylko Wieniawski używa i ciągle wytwarza, albo gdybyśmy opowiadali o prowadzeniu przezeń śpiewów, o szybkich tonach nutami harmonicznemi (t. z. *flageolet*) i to jeszcze w legato posuwanem (t. z. poit de voix) i t. p. to może w niejednym punkcie wierzyćby nam nie chciano!

Zostawmy więc na boku wszelkie w tym względzie szczegóły, dodając tylko, że o egzekucji Wieniawskiego we wszystkich prawie dziełach, możnaby chyba jedynie też same powtórzyć wyrazy jakie Voltaire chciał widzieć podpisane

na każdej karcie pięciu arcydzieł Rasyna: **p i ę k n o, d o s k o n a ł o ś ć, s z c z y t n o ś ć.**

W programie dwu koncertów jakiemi nas obdarował Wieniawski w poniedziałek i we środę, znalazły się: Mendelsohna, *Concerto*, Beethovena, *Romanse* T. dur.; Vieuxtemps'a *Concerto*, A. moll.; Bacha, *praeludium*, Vivace; Ernsta, *fantazje z pieśni węgierskich*; a oprócz tego dwa własne utwory koncertanta: *2gi polenez* i *Legenda*, jak również jego układu *Fantazje* na motywa z opery *Faust*, Gounoda.

Co do pierwszego z tych dzieł to może nigdy jeszcze nie miało takiego jak nasz mistrz interpretatora, (szczególnie w pierwszem rozległem *Allegro appassionato* i końcowem *Molto vivace*), a to z powodu swego kolosalnego zakroju, iście attyckiej formy, a zarazem nagromadzonych w niem ogromnych trudności technicznych. Egzekucja koncertu *A moll* była tak olśniewającą, że przypuszczamy, iż to ją musiał słyszeć kiedyś schodzący z pola Vieuxtemps, gdy publicznie składał palmę pierwszeństwa naszemu wielkiemu mistrzowi. Co do *Praeludium* Bacha (*Violino solo*), słyszeliśmy już nieraz, ale dopiero dzisiaj po raz pierwszy mamy o niem prawdziwe pojęcie. Tu zarazem Wieniawski miał sposobność nietylko do rozigrania swego smyczka w prześlicznem *grand détaché*, ale co ważniejsza, mógł nam okazać do jakiego stopnia umie odtworzyć właściwość i oryginalność stylu dzieł chociażby wieki całe nas dzieliły od jego epoki. A cóż powiedzieć o wykonaniu dzieła Ernsta? Wielki ten i nieodżałowany talent, nie może chyba mieć, zdaje nam się wspanialszego dla swych cieniów pomnika, jak reprodukcja jego utworów przez takich mistrzów jak Wieniawski. Wreszcie w *Fantazji* z *Fausta* okazał nam koncertant ogromne bogactwo i szlachetność formy jaką umie władać w układzie. Nietylko bowiem daleki od wszelkich pospolitych sposobów, ale zwykle nawet pogardza zwyczajną pomocą w podnoszeniu efektu, tak dalece, że odrzuca te, których sam autor w niektórych miejscach używał. Gdy zaś sam wytworzy jaką mozajkę, to w istny zachwyt wprowadza słuchacza. Nakoniec, co do jego własnych utworów, nie mamy prawie słów na ich uwielbienie. Jego *Legenda* (w drugiej części *con sordine*), to oda piersią przeczystej Muzy wyśpiewana. Jego IIgi *Polonez*, to wielki poemat narodowy. Miejscami zdawało nam się słyszeć w nim huczną, ogromną „kapellę“ na starych zamkach dawnej wielkości i sławy. Blask olśniewający bogactwa tonów, gromkość, buta, naprzemian serdeczny affekt, rzewność, a majestat, którego jedynem dziś echem mogą być tylko nasze synowskie, polskie serca, — wszystko się tam znalazło!...

Monarchowie i władzcy świata obdarzyli naszego mistrza mnóstwem honorów i niezliczonych dekoracyj. Niechże nasz hołd, nasza wdzięczność powszechna dla jego genjuszu i dla jego pamięci zaważą dlań więcej, trwalej i na zawsze, a to pod hasłem jego rodzimej, mazowieckiej nuty jaką nas ostatnio pożegnał.

P. S. W obu koncertach Wieniawskiego brali udział także, jego akompaniator, p. Nikisch, i dwie młode amatorki, pani K. W. i panna R. Powiemy zapewne o nich jeszcze, ale już w przyszłym tygodniu.

Piśmiennictwo polskie.

(*Roztrząsania i opowiadania historyczne przez Józefa Szujskiego. Kraków 1876.*)

(*Ciąg dalszy.*)

Zawiązanie bliższych stosunków politycznych między Andrzejem Dudyczem, biskupem Pięciokościołów, posłem cesarza Maksymiljana w Polsce, a znanym mowcą i pisarzem ks. Stanisławem Orzechowskim, jest przedmiotem następującej po trzech wymienionych recenzjach rozprawki. Zygmunt August sprzykrzywszy sobie żonę Katarzynę Austrjaczkę, pragnął się z nią rozwieść. Nie mogło być to obojętnem cesarzowi Maksymiljanowi, który się starał o uzyskanie jak największego wpływu w Polsce, aby po śmierci króla koronę polską zapewnić domowi austrjackiemu. W celu przeszkodzenia rozłączeniu się króla z królową, a zarazem w celu zorganizowania stronnictwa austrjackiego w Polsce, wysłał Maksymiljan II posła w osobie przebiegłego dyplomaty, biskupa Dudycza. Królowa już miała opuszczać Polskę, kiedy namówiony przez Dudycza prymas Uchański zwołał senatorów do Gniezna, i z nimi razem zatrzymał ją w Radomiu. Dudycz potrafił pozyskać dla swej sprawy Orzechowskiego, i tenże na sejmiku wojewódzkim w Sądowej Wiszni r. 1566 palnął gwałtowną mowę przeciw królowi i spowodował nią, że obecni senatorowie i szlachta uchwalili wotum zaufania dla prymasa i senatorów gnieźnieńskich za to, że królowę od wyjazdu powstrzymali. Ciekawą tę mowę ogłosił po raz pierwszy p. Szujski z manuskryptu bibljoteki Jagiellońskiej. Od czasu owej mowy datuje się ścisła zażyłość między Orzechowskim a Dudyczem. Były to dusze pokrewne sobie. Biskup Dudycz wkrótce ożenił się ze Straszówną, w czem poszedł za przykładem swego przyjaciela Orzechowskiego. Jak silnym był duch reformatorski XVI wieku, skoro książęta kościoła oprzeć im się nie mogli!

Obszerniejsze przedstawienie stosunków dyplomatycznych Zygmunta Augusta z domem austrjackim, których poselstwo Dudycza jest tylko małym epizodem, jest przedmiotem następującej gruntownej rozprawy. Autor przedstawia w niej zawikłaną sieć dyplomatycznych gier prowadzonych przez całe panowanie Zygmunta Augusta we dworze polskim, naprzód przez cesarza Ferdynanda, następnie przez Maksymiljana II. Dom austrjacki odziedziczył po Luksemburczyku współzawodnictwo z Jagiellonami, których familja panując w Polsce, Czeszech i Węgrzech stawała się coraz groźniejszą dla cesarstwa. Zygmunt I ociężały w ostatnich latach panowania, zawarł przymierze z domem austrjackim, będącym w coraz to kłopotliwszych stosunkach. Zygmunt August także nie w świetniejszych wstąpił na tron ojcowski. Główną troską dla niego była sprawa o Barbarę, o którą ciągle krzyki podnosili nieprzyjaźni Radziwiłłom magnaci dzielnie sekundowani przez swych adherentów szlacheckich. Ferdynand postarał się o potwierdzenie dawnego przymierza, nie doprowadziło ono jednak do zamierzonego skutku. Zygmunt August z mlekiem matki wyssał zasady polityki włoskiej: podejrzliwość i dążenia do samodzielności. Nie możemy dokładnie podać całego przebiegu rozmaitych robót dyplomatycznych toczących się przez całe panowanie Zygmunta Augusta, powiemy tylko, że rzecz chodziła głównie o wymuszenie neutralności Polski wobec Zapolyi, a po sprzykrzeniu sobie przez Zygmunta Katarzyny austrjackiej, o uniemożliwienie rozwodu i uorganizowanie silnego stronnictwa rakuskiego, aby zapewnić koronę Maksymiljanowi. Dzielnemu i konsekwentnemu działaniu Maksymiljana, przez zdolnych posłów i ajentów, jako to: Herbersteina, Kurzbacha, Logusa, Dudycza i innych, udało się oba cele przeprowadzić. Zygmunt August, którego jedynem życzeniem było rozłączyć się z chorowitą Katarzyną, ożenić się raz czwarty i zostawić następcę tronu, mimo swego dyplomatycznego talentu nie zdołał tego dokazać, natrafiając na każdym kroku na trudności przygotowywane przez Maksymiljana. Silne stronnictwo austrjackie utworzyło się rzeczywiście i przeprowadziło wybór Maksymiljana na króla polskiego, który tak smutny miał koniec pod Byczyną. Ciekawe szczegóły o robotach dyplomatycznych na dworze Zygmunta Augusta zebrał głównie p. Szujski z nieznanych dotychczas manuskryptów wiedeńskiej bibljoteki. Źródłowa ta praca zwraca tem więcej na siebie uwagę, że jest jedną z pierwszych traktujących o dyplomacji polskiej.

Następna rozprawa zatytułowana „Dawna Rzeczpospolita i jej pogrobowce“ różni się stanowczo od poprzedzających tak pod względem treści jak i formy. Jest to polityczny artykuł z wybitnem piętnem stronniczości, a historja jest w nim dla autora tylko kanwą, na której dzierżga swe polityczne i socjalne zapatrywania. Słusznie autor wykazuje, że jesteśmy nieodrodnymi synami ojców naszych; te same zalety i wady co dawniej, i teraz widoczne w naszym narodzie. Nieposzanowanie prawa, zanadto wygórowana indywidualność, gonienie za urzędami bez zastanowienia czy im się podoła — wady te posiadali Polacy przed dwoma wiekami i teraz od nich nie są wolni. Dotychczas na wszystko zgoda. Ale autor wszystkie te wady przypisuje właściwie nie całemu społeczeństwu tylko polskiej demokracji, która uciska(!) pełną wszystkich cnót szlachtę i czyni wszystko, co złe i dla narodu niekorzystne. Od czasu do czasu wyrywa się z bogobojnej piersi p. Szujskiego władza doczesna papieża, złączona ściśle z naszym losem(!), prawi nad nieuszanowaniem dla arystokracji, słowem z tego wszystkiego powstaje dziwny galimatjasz zdań złych i dobrych, słusznych i tendencyjnie fałszywych, często zaś sobie wręcz przeciwnych. Stronniczość swą posuwa jednak autor za daleko: niech co chce prawi o demokracji naszej, niech wzdycha za doczesną władzą papieża, nikomu to nic nie szkodzi, ale niegodnie jest rzucać się na bohaterów ostatniego powstania, co p. Szujski mimochodem czyni. W rozprawie tej autor „Teki Stańczyka“ okazuje się w całym blasku swej Herostratowej sławy, której pewnie nikt mu nie zazdrości. Radzibyśmy zawsze mieć do czynienia z p. Szujskim, jako historykiem, jako publicysta jest on wstrętnym.

(Dok. nast.)

POGADANKI.

XXI.

Jeżeli Europa przypuszcza, że „pogadanka“ dzisiejsza zawierać będzie jakie półurzędowe *communiqué* w sprawie zmiany zaszłej w wydawnictwie *Tygodnia*, to myli się ona mocno. Ani urzędownie, ani półurzędownie nie mam co dodać do ogło-

*

szenia, umieszczonego na czele obecnego numeru, jak chyba to jedno, że zmiana o której mówię, nie zostaje w żadnym związku z upadkiem Midhata-paszy, ani z przejazdem Don Carlosa przez Lwów do Kiszyniewa. Wszelkie tedy kombinacje, jakie z tego powodu pojawić się mogą w *Przeglądzie Lwowskim*, pozbawione będą faktycznej podstawy. Rozumie się to zresztą samo przez się, bo organ ks. Podolskiego wszystkie swoje rozumowania na podstawach wyłącznie idealnych opiera... Nic dziwnego, że tak eteryczny fundament załamuje się zwykle pod ciężarem grubijaństw, które dźwigać musi. Ale — zostawszy sobie na post wątpliwą przyjemność rozmawiania o *Przeglądzie*, a zobaczmy, jak się prezentuje karnawał w pełni swojego rozwoju.

Mimo coraz głośniejszych narzekań na nędzę, na lichwę, na brak zakładów — zastawniczych itp. nie można twierdzić, by zapusty tegoroczne należały do mniej ożywionych. Przeciwnie niewyspane fizjonomje młodzieży, jakie można widywać na ulicach co rana, już same przez się świadczą wymownie o wesoło przepędzanych nocach. Mógłby kto zarzucić, że pewna część młodzieży zwykła nie wysypiać się o każdej porze roku, i że przeto fizjonomie jej nie dowodzą wcale większego lub mniejszego ruchu karnawałowego, ale uważny spostrzegacz odeprze bezwarunkowo taką insynuację. Kto się nie wyśpi w zwykłych warunkach życia, a nie jest urzędnikiem poczty lub telegrafu, skazanym na służbę nocną, ten przemyka się ulicą tak, aby był jak najmniej widzianym, podczas gdy bohater kotyljonowy z pewną dumą pomrukuje zaspanemi oczyma i ostentacyjnie włóczy zmaltretowane nogi, opowiadając każdemu, kogo spotka, ile już dni i nocy nie udawał się na spoczynek. Zważywszy częste bardzo pojawianie się takich dobrowolnych ofiar bezsenności, chełpiących się okazałą walecznością, można twierdzić, że karnawał tegoroczny jest bardzo świetnym.

Bilans zapustny przedstawia się tak: cztery bale publiczne z opłacanym wstępem, jeden „proszony“, trzy reduty, kilkanaście „wieczorków publicznych“, nieskończona ilość zabaw prywatnych lub w kółkach zamkniętych, a ponad wszystkiem, w oficjalnej glorji, dwa wieczory tańcujące u Namiestnika. Z tych pierwszy, mojem zdaniem, nazwaćby można było równem prawem, wieczorem jedzącym. Sala w gmachu namiestnictwa zostawia mało bardzo swobody popisom choreograficznym, podczas gdy kuchnia zdaje się być urządzoną tak, by można nakarmić gości na dwa tygodnie. Jednej tylko *Kronice Codziennej* nie podobała się ta zabawa, która jej zdaniem, miała być „nudną i sztywną“. Inne dzienniki natomiast prześcigały się w pochwałach. Par tańczących było trzydzieście kilka; prowadził tańce p. Skrzyński. Między tancerkami uderzała pięknością i dystynkcją hrabianka Potocka, dalej hr. Dzieduszycka, córka b. marszałka, i innych wiele. Godzi się także wspomnieć, że mało która rodowita Polka tak pięknie tańczy mazura, jak księżna Thurn-Taxis, z domu hr. Schafgottsche, żona pułkownika i brygadjera jazdy ks. Lamorala. Z gości zamiejscowych uważaliśmy hr. Grocholskiego (z Wołynia) i pana Wieniawskiego, znakomitego skrzypka, który uświetnił koniec zapust we Lwowie dwoma koncertami.

* * *

P. Wieniawski należy do tych pierwszorzędnych artystów, około których nazwiska anegdoty roją się jak muchy. Jedną z najlepszych, którą słyszałem, opowiem tutaj. Wiadomo dość powszechnie, że od czasu zamachu na poświęconą osobę Imperatora i Samozdziercy Wszej Rosji, Jego Wieliczestwo powierzył obronę swojej osoby ogromnemu jak źrebię brysiowi, który go nie opuszcza na chwilę i jest dresowanym do rzucania się na ludzi. Pewnego razu gdy Car przejeżdżał przez Warszawę, a prezydent miasta jenerał Witkowski po ukazu jawił się na dworcu koleji żelaznej z chlebem i solą, bryś wyskoczył z wagonu i ku wielkiemu rozweseleniu carskiego serca porwał chleb i pożarł. Otóż innym razem, powołano Wieniawskiego do dworu w Petersburgu, i kazano mu grać na skrzypcach. Koncert rozpoczął się już, gdy wszedł Jego Wieliczestwo, poprzedzony przez brysia. Temu ostaniemu podobały się snać skrzypce, przystąpił tedy do Wieniawskiego i począł w bardzo podejrzany sposób przysuwać się do jego prawego ramienia. Artysta podniósł instrument jak mógł najwyżej, i spoglądając z pod oka na niebezpieczną bestję, grał dalej jak mógł. Car lubi żarty, i śmiał się serdecznie z jego ambarasu. Nakoniec atoli sobaka posunęła się w swojej poufałości tak daleko, że wspięła się w górę, opierając jedną łapę na piersi skrzypka, który nie chcąc przerwać rozpoczętej produkcji, ani też trącić carskiego zwierza, dokazywał cudów zręczności w prowadzeniu smyczka. Nakoniec car raczył przemówić.

— Obawiam się, że panu mój pies zawadza?

— Nie, Najjaśniejszy panie, to ja obawiam się, bym nie zawadzał psu Waszej Cesarskiej Mości — była odpowiedź!

Car raczył najmiłościwiej rośmiać się głośno, wstać i własnoręcznie ująwszy brytana za obrożę, uwolnić artystę od niemiłego sąsiedztwa.

* * *

O tem, czego nawet tak niewinna sztuka, jak muzyka, doświadczyć może w Moskwie, opowiada także jeden z ostatnich numerów paryskiego *Figara* zabawny szczegół z czasów pobytu słynnego francuskiego kompozytora Boieldieu na dworze Aleksandra I. Boieldieu komponował w Petersburgu partycję nowej opery, którą wysyłał do Paryża w miarę jak kończył każdą część znaczniejszą. Ażeby uniknąć pomyłki, znaczył każdą skrzynię inną nutą muzyczną. I tak, na jednej skrzynce stało *si*, na drugiej *mi*, na trzeciej *sol*.

Znaki te zaalarmowały policję carską, która wyobraziła sobie, że natrafiła na ślad jakiegoś spisku, i korespondencji prowadzonej szyframi. Po długiem łamaniu sobie głowy, policmajster przetłumaczył *si, mi, sol* w ten sposób: *six mille soldats*, i bezpośrednio chciano uwięzić kompozytora. Na jego szczęście, car wdał się osobiście w tę sprawę i uspokoił policję co do zamiarów autora „Białej Damy.“

* * *

W Paryżu urządziła panna Dumas „poranki charakterystyczne,“ przeznaczone dla produkcyj dramatycznych i muzykalnych moskiewskich, włoskich i hiszpańskich. Na pierwszym, czytano „Rusałkę“ Puszkina, którą p. Lapommeroye zachwalił był bardzo Francuzom. *Figaro* znajduje przeciwnie, że jest to dzieło bardzo mierne.

L'Hetman, dramat, o którym wspominałem w ostatniej pogadance, ma wielkie powodzenie na scenie paryzkiej. W Wiedniu *Duch Wojewody*, Grossmana, robi furorę; pisma ilustrowane przepełnione są rysunkami, których przedmiotem jest ta opera. Miejmy nadzieję, że ujrzymy ją kiedyś i we Lwowie, zwłaszcza gdy przepowiednia moja ziściła się prędzej, niż sam przypuszczałem — tj. gdy wrócił już syn marnotrawny naszej opery, p. Zakrzewski z krótkiej wędrówki po świecie. Dyrekcja nie poszła atoli za przykładem ojca biblijnego; przynajmniej chór świadkiem, że nie padło ofiarą uczty powitalnej żadno cielę, ani tłuste ani chude. Tegocześni dyrektorowie tak mało są podobni do patrjarchów starego zakonu, że nie opłaci się być marnotrawcą i włóczyć się po świecie.

Jan Lam.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Jak zwykle w mętnej wodzie najlepiej łowić ryby, tak też i u nas odgrywa się teraz smutny dramat, który nazwę nową Targowicą. Dramat ten może podkopać resztę podwalin, z braku których nasz domowy przemysł musi na długie czasy runąć.

Zapytasz czytelniku i słusznie, kto są ci nowi Targowiczanie? — Jest to nowa rasa w społeczeństwie, która jak szarańcza do nas spadła podczas budowy pierwszej drogi żelaznej, a imię jej: „przedsiębiorcy.“ — Zaiste, nie wielka liczba pomiędzy nimi takich, u których na czole wyryte godło prawości. Reszta, jest to pokolenie średniowiecznych „Raubritterów“, — które jak dżuma do nas przyszło, i zaraziło oddechem swym żywotne siły narodu. Rasa ta wyradza się w kastę, nie wybiera w środkach; dla niej nie ma nic świętego. Pieniądz, to jej Bóg! — a zdobywa go uprzywilejowanym rozbojem. Sumienie, jako przedmiot zużyty, rzuciła do komory starych gratów.

Bezkarność w naszem społeczeństwie otworzyła dla tej sekty szerokie pole działania; rabunek publicznego zarówno jak i prywatnego dobra, nie w nocy, ale w biały dzień się odbywa. Mamy jeszcze w żywej pamięci budowę dróg żelaznych jak: czerniowieckiej, brodzkiej, łupkowskiej i innych; tę złotą erę krociowych zysków bez pracy, opartych jedynie na bezsumienności i krwawym pocie wyzyskiwanego ludu; te orgje, które prawie we wszystkich warstwach szczepiły jad zepsucia. Niedziw, że pieniądz tak lekko nabyty toczył się dalej odpowiednią drogą, dopokąd go znowu zgrai „Raubritterów“ nie zabrakło.

A że te błogie czasy może bezpowrotnie minęły, i trudno odwyknąć od nabytych nałogów, trzeba gonić za innemi zdobyczami. Oto kraj uderzył w dzwon pracy organicznej, dobywa wszelkich sił, aby jak najprędzej wyrównać się w pochodzie pracy ludów, podpierać, co cały wiek niszczył, lub kłaść na nowe podwaliny pod budowę przyszłości.

Ta praca ofiarna jest świętą dla każdego, w czyjem sercu chociaż jedna kropla krwi wielkich ojców naszych jeszcze płynie. Wyjątek jedynie stanowi najznaczniejsza część przedsiębiorców; a więc i oni się zszeregowali, ale jedynie

dla osobistego obłowu za jaką bądź cenę. Kraj miljony składa, aby stawiać przybytki ku podniesieniu moralności, wiedzy i bytu materjalnego. Dla cywilizowanej nowej sekty, to gratka nie lada.

Przy każdym nowym planie, podług którego ma być budowa jaka wznoszona, marzymy dobrodusznie naprzód, jakie to dobrodziejstwa spłyną na naszą biedną rzeszę pracowników, i jaką szkołą będzie dla niej ta praca. Nie jedno ognisko rodzinne zapłonie otuchą lepszej przyszłości. Nie jedna łza nędzy obeschnie zapewne na licu. Przed lichwą drzwi zostaną zamknięte; nowe wskazówki w postępie pracy, zastąpią braki wiedzy dotychczasowej.

Gorzka ironja! te wszystkie marzenia jednym podmuchem rozwieją nietoperze skrzydła Wandalów dziewiętnastego wieku, bo każda ich praca przedsiębiorcza, pozostawia po sobie krwawe ślady moralnego i materjalnego zniszczenia.

Przedsiębiorca taki bierze np. budowę kroćiowej a nawet miljonowej wartości, obowiązując się oddać klucze od wykończonej całości. Drwi on jednak naprzód z wszelkich warunków obowiązującej umowy, bo dawno już nabył doświadczenia, że tylko w rzadkich wypadkach można być na bezprawiu wyłapanym, i popaść w ręce karzącej sprawiedliwości. Troski te w obec bezkarności w naszem społeczeństwie są tak rzadkie, jak wygrana wielkiego losu na loterji.

Przedsiębiorca taki, zdarza się często, że nie ma nawet elementarnego pojęcia o dziele jakiego się podjął wykonać; ale za to, gdyby przy jakiej wszechnicy utworzoną została katedra „szwindlu,“ mógłby zostać profeserem luminarzem. Niedawno, np. przy budowie tej lub owej kolei był prostym dozorcą, dzisiaj obraca krociami, wyrzuca tysiące i na domiar tytułują go „inżynierem“ lub „architektem.“ Dla niego nawet c. k. prokurator nie jest tak strasznem widmem jak dla innych śmiertelników. Dalsza charakterystyka jest zbyteczną, wróćmy do głównego zadania.

Otóż przedsiębiorca taki podjąwszy się budowy, przyjmuje na siebie roboty: murarskie, stolarskie, kowalskie, ślusarskie, w ogóle wszystkie jakich plan wymaga, licytując ryczałtowo za najniższą cenę. W zaciekłej walce z współtowarzyszami — nie umiejąc ocenić wartości przedmiotów, bierze na siebie obowiązek, którego idąc prawą drogą, nie mógł by wykonać. Skrupuł ten jednak najmniej go niezajmuje, bo od czegoż nazywa się „przedsiębiorcą“? Śmiało więc zwołuje odpowiednich przemysłowców, i każdy dział pracy wystawia powtórnie na licytację in minus; dopiero z tych, którzy podali najniższe ceny, wybiera i rzuca z cynizmem hasło: „życie lub śmierć“.

Dla tego, kto zna tajniki nędzy naszego przemysłu rękodzielniczego, hasło to jest aż nadto zrozumiałe. Przedsiębiorca robi jednem słowem oszusta lub partacza z najuczciwszego dotąd rzemieślnika. Bo gdy u tegoż w domu czeka liczna rodzina, aby jej podał kawałek chleba, cóż mu pozostaje? Oto zgodzić się na wszelkie warunki, wykonać robotę z najgorszego materjału, najsłabiej, aby tylko pociągnięta była blichtrem i wystarczyła na chwilę odbioru, a co najwięcej, na czas próby oznaczonej w umowie głównej, zawartej to z władzami krajowemi, lub też z osobą prywatną.

Biedny rękodzielnik znajdując się w takiej ostateczności, nie oblicza, że własną rękę przykłada nóż do gardła nie tylko sobie samemu, lecz może kilku pokoleniom przemysłu krajowego.

Nie rzucajmy więc kamieniem potępienia na naszych przemysłowców rękodzielników, ale raczej litujmy się nad nimi, stając w ich obronie czynem i dobrą radą. Niedozwalajmy, aby na naszej polskiej ziemi bezkarna rasa z pokolenia „Raubritterów“ zamieniała wolnych ludzi w białych murzynów, robiąc z nich narzędzia swego bezprawia i demoralizacji. Nie dozwólmy, aby tem samem otwierano na oścież wrota najazdowi przemysłu obcego, pod którego stopami to co nasze, musi być zdruzgotane, zmiażdżone. Mamy zresztą i takie wypadki, że tam, gdzie wiedziano z góry, iż stróże publicznego dobra, którym powierzono ster monumentalnej budowy krajowej, pod żadnym warunkiem nie dopuszczą nadużycia; gdy nasi przemysłowcy, szczególniej stolarze, nie mogli podjąć się pracy po cenach ofiarowanych, panowie przedsiębiorcy oddali roboty te po za granice kraju, płacąc znacznie wyżej.

A przecież budowa taka, jak Akademja techniczna, to z potu i ofiar całego kraju!

Czy wolno było krok taki uczynić instytucji, która wzrosła z nas? Nie panowie, wam nie wolno rzucać kamieniem na naszych przemysłowców rękodzielników, bo nie na nich wina cięży, że jakiekolwiek tytuły dzierżycie, nie umieliście się obliczyć z rzeczywistą wartością przedsiębiorstwa. Liczyliście zapewne na możliwe zmiany i wypadki; przyznajcie przynajmniej teraz, że to była wielka pomyłka z waszej strony.

Zadaniem instytucyj ekonomicznych być powinno, aby widnokrąg swój wspierać i umoralniać, ale nie wyzyskiwać i rzucać na pastwę nędzy.

Jeżeli zaś instytucje takie, krom szyldów jakie powywieszały, przeciwnie postępują, to każdego uprawniają do wniosku, że są obcymi wszelkiemu obywatelstwu kraju, byt swój obliczają na dziś, a potem naładowawszy kieszeń, wycisnąwszy ostatnie krople soków żywotnych, wyniosą się *nach Draussen*. Zwracamy jednak i w tym wypadku ich uwagę, że czasem najlepsze plany zawodzą, a Nemezys obdarza niespodziankami.

Jeżeli takiej samowoli, wrogiej postępowi przemysłu krajowego, nie położymy tamy i kraj cały nie poczuje się do wywarcia nacisku moralnego, aby winowajców powstrzymać w ich piekielnych podskokach, to pocóż wyrzucać miljony i zubożyć ten kraj; czy dla nasycenia chciwej czeredy?

Dopokąd bezkarność w naszem społeczeństwie znajdować będzie tak żyzną niwę jak dotąd, tak długo wszelkie nasze dobre chęci pozostaną pracą Syzyfa. Czy chcemy stanowczo przyznać, że jesteśmy pobici, nie mając tyle cywilnej odwagi, aby czyny nieczyste nazywać po nazwisku? Czy każdemu, co na drodze bez wyboru, zyskał pieniądz, wolno bezkarnie gospodarować jak mu się podoba? Nie! i jeszcze raz nie! Nasze społeczeństwo posiada jeszcze nerwy zdrowe. Poczucie narodowej godności jeszcze żyje, nie wymarło; jedynie cywilna odwaga została przygnębioną, i tę nam wprowadzić potrzeba w przynależne prawa. Ona niechaj nam będzie przy niezgiętej wytrwałości, gwiazdą przewodnią. Przy jej świetle zamienimy szczere chęci, w rzeczywiste czyny.

(C. d. n.)

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

Mało jest rzeczy w którebym wierzył tak silnie jak w to, że się kiedyś ożenię. Bo i dlaczegoż wreszcie nie miałbym być żonatym? Znałem takich, których kwalifikacje patrymonijalne ograniczały się do minimum, a którzy przecież dziś mają żony, dzieci, mamki, piastunki, kucharki, pantofle haftowane, rachunki od modniarek nieopłacone, i w ogóle wszystko to, co człowieka żonatego wyróżnia od reszty śmiertelników. Dlaczegóż miałbym być gorszym od innych?

Kwalifikacyj moich wyliczać nie będę, nie chodzi mi bowiem o reklamę. Wreszcie, to co piszę ma pozostać wieczną tajemnicą pomiędzy mną a moją narzeczoną; wierzę zaś, iż mnie nie wyda z sekretu, dla tej prostej przyczyny, że moja przyszła jest dopiero ideą, widmem, sennym obrazem, któremu przecież godzi się zaufać. Utwory fantazji mają przedewszystkiem to do siebie, że nam są wierne aż do grobu; mogą się zmieniać i przeobrażać, ale nas nigdy nie opuszczają; co więcej, osładzają nam nieszczęście, pocieszają w smutku, dodają siły do pracy, zasłaniają przed okiem naszem czarne punkta przyszłości, jednem słowem są to nasze dobre duchy, o tyle lepsze od zimnej rozwagi, że jeżeli oszukują niekiedy, jeśli prowadzą często do zawodów, to przynajmniej z góry o tem nie uprzedzają. Ba! nawet wmawiają w nas później i przekonywają bardzo łatwo, że one prowadziły dobrze, tylko myśmy ich głosu nie słuchali. Znowu więc zaczynasz wierzyć tym poczciwym duchom i całą biedę zwalasz na widoczny rozstrój świata, na przewrotność ludzką, na fatalny zbieg okoliczności... Czujesz się sam lekkim i niewinnym, otaczają cię nowe marzenia, unoszą nowe nadzieje — a czegóż więcej do szczęścia potrzeba?

Tak tedy, choćby się to komu miało niepodobać, wierzę w obrazy mojej fantazji, kocham je, kocham moję narzeczoną i na złość wszystkim pozytywistom, będę z nią korespondował aż do...

Oczywiście aż do chwili, kiedy ją poznam naprawdę. Bo któżby był tak odważnym, żeby korespondować szczerze z prawdziwą narzeczoną! Byłoby to w istocie coś niesłychanego. Na to trzeba być albo bardzo naiwnym, albo bardzo delikatnym; owszem, według przyjętych zasad, narzeczeni powinni jak najbardziej unikać wzajemnego poznania, przedstawiać się sobie wzajemnie ile możności w różowem świetle, w jasnych rękawiczkach, w gazach i iluzjach, jednem słowem jak najzręczniej bawić się swoim kosztem. Panna nie powinna wiedzieć jaką jest jej narzeczony po za salonem — a mężczyzna nie może wiedzieć jaką jest panna — bo z chwilą kiedy on wchodzi, wszystko nastraja się na ton sztuczny, ustawiają się dekoracje, rozdają role i zaczyna się komedja.

Otóż nim się ta komedja zacznie, tj. zanim idea mojej narzeczonej stanie się panną, uśmiechniętą, poprawiającą co chwila włosy i suknię, mówiącą po francusku i grającą na fortepianie — pozwalam sobie uważać ją za istotę organiczną, rozumną, mającą pewien charakter, pewien naturalny temperament, pewne wyobrażenia o życiu, o swoich obowiązkach jako obywatelki (niezależnie od tego czy jest dziedziczką wsi z przyległościami), wreszcie pewne potrzeby moralne i materjalne, o których milczy kodeks salonowy. Z taką istotą, rozumie się idealną, wyobrażalną tylko, wolno mi przecież zozmawiać szczerze, bez

ściągnięcia na siebie zarzutu naiwności lub niedelikatności. Jak Hegel porozumiewał się z ideą bezwzględną, tak ja biorę sobie za towarzyszkę względną ideę mojej narzeczonej i — zaczynam.

LIST I.

Szanowna pani!

Ty masz lat blisko 20, ja niespełna 30; widujemy się dosyć często, nie uciekając jedno od drugiego, a nawet (racz mi wybaczyć tę śmiałość) szukając się do pewnego stopnia — bardzo więc być może, że się pokochamy wzajemnie. Jestto wprawdzie hipoteza tylko, która przyszłych wyników nie przesądza, ale rozjaśnia obecny stan rzeczy. Człowiek rozważny powinien patrzyć w przyszłość; zastanówmy się więc nad nią, w tem przypuszczeniu, że mogłaby się kiedy stać prawdą.

Kochać się, to znaczy zaślepiać się wzajemnie — patrzmyż dopóki mamy zdrowe oczy!

Przedewszystkiem oświadczam Pani, że nie mam zamiaru przyczyniać się do skarłowacenia rodu ludzkiego; ani też brać na siebie rolę domowej szarytki — żona więc moja musi być zdrową. Zanim tedy dalej prowadzić zaczniemy niebezpieczną grę towarzyską, racz mnie Pani oświecić, czy nie pijasz czasem octu, czy nie nosisz zbyt ciasnych sznurówek, czy nie wykrzywiasz nóg dwupiętrowemi bucikami, czy nie psujesz twarzy różnemi kremami i pudrami, czy nie czytujesz po nocach romansów, wstając o wpół do dwunastej itd? W przeciwnym bowiem razie, byłbym zmuszony uważać cię raczej za objekt patologiczny, niż za pannę na wydaniu. Powtóre radbym wiedzieć, czy nie czujesz pani wrodzonego wstrętu do zimnej wody? Mam bowiem to dziwne uprzedzenie, że kobiety, które dużo używają perfum i olejków (a która tego nie robi?), nie mają zwyczaju myć się porządnie. Jestto zapewne grubijańskie uprzedzenie; ale trudno mi się z niego wyleczyć.

Racz mi Pani wybaczyć, że ośmielę się jeszcze zapytać, po trzecie, czy nie masz Pani zbyt delikatnych nerwów? Wrażliwość jest zapewne bardzo cennym przymiotem, ale o ile się wyraża w zbyt częstych spazmach i fochach, o tyle mniej jest pożądaną w małżeńskiem pożyciu.

Mam nadzieję, że odpowiedź Pani wypadnie przychylnie, a w takim razie będziemy mogli przystąpić do dalszych pertraktacyj, nie przerywając naturalnego biegu stosunków.

Racz Pani przyjąć zapewnienie najgłębszej bestronności od chcącego ją poznać towarzysza.

**

* * *

Napisawszy ten list uczułem ulgę na sumieniu.

Mój Boże! żeby tak mieć naprawdę narzeczoną a przynajmniej projekt na narzeczoną! Zarazby korespondencja moja realniejszą przybrała postać. A tak... napisałem jeden list i jużem się zbił z drogi. Bo i jak tu pisać drugi, nie wiedząc jakąby była odpowiedź na pierwszy?

Zacząłem stygnąć w zapale — list drugi jakoś się kleił — mijały dnie, tygodnie, aż nareszcie...

Był wieczór. Przez okno mojego mieszkania widać było na niebie już tylko dwie czerwone pręgi — resztki zachodu. Nareszcie i te zgasły, miasto ucichło zupełnie, a pokój mój zaległy ciemności. Tylko dym od fajki, jedynej wiernej towarzyszki mego kawalerskiego żywota, jaśniał i migotał w promieniu ulicznej latarni zaglądającej mi natrętnie do okna. Siedziałem zatopiony w fotelu, podziwiając tę grę szarych i niebieskawych kłębów unoszących się ochoczo, jak porywy młodości, a ginących tak marnie jak moje patrymonijalne zamiary. Zdawało mi się, że kłęby dymu dziś piękniej się składają niż zwykle. W ulotnem ich życiu było tyle fantazji, cieniów i kształtów, że mimowoli zacząłem je śledzić oczyma. Jedna smuga powiewna wydała mi się ogonem gazowej sukni balowej, inna — welonem ślubnym, w których zwojach poczęły mi się ukazywać blade twarzyczki znajomych mi kobiet. Przesuwały się one zwolna, nie budząc silniejszego zajęcia, gdy w tem promień latarni drgnął, zwoje dymu splotły eteryczne kółko, niby wstęgę srebrzystą, niby wieniec z muślinu, a w głębi tej mistycznej ramki ujrzałem najwyraźniej dwoje czarnych oczu, wpatrzonych we mnie, palących a łzawych.

Gdzie ja te oczy widziałem?

(C. d. n.)

Kronika paryska.

(*Dokończenie.*)

Paryż — Styczeń 1877 r.

Pan Teodor de Banville przedstawił w Odeonie heroiczną mitologiczną komedję w trzech aktach wierszem, pod tytułem „Deidamia.“ Oto mistrz pod względem formy, u którego panu Parodi poduczyć by się należało. Ale tyle też tego. Pod błyszczącym płaszczem rymów w utworach pana de Banville, najskrupulatniejszy szperacz nie dużo znajdzie treści. Mitologiczne formułki, galwanizowanie umarłej i niepodobnej do wskrzeszenia starożytności, oto kwintesencja przeważnej większości jego utworów. Na co to się komu zdało? Niewiadomo.

W tym że samym Odeonie przygotowują wielki dramat p. Deroulède pod tytułem „Hetman.“ Rzecz ma być wzięta z dziejów ojczyzny naszej, z 1646 r. z czasów buntów Kozaczyzny. „Les Kozaks *opprimés* et les Polonais *oppresseurs*, voilà qui va bien un peu déranger les *traditions* recues!“ W tych słowach, zacierając z radości dłonie poczciwy „Figaro“ czytelnikom swoim zwiastuje tę nowinę. Dalszy ciąg tejże samej polityki. Przygotujmy się do słyszenia niekoniecznie słodkich rzeczy, lecz przygotujmy się do słuchania ich z godnością, jak na tych przystało, którzy za grzechy swe odpokutowali.

Rozpoczęte za czasów cesarstwa, przerwane w ciągu wojny i komuny prace koło upiększania Paryża, w przewidywaniu wystawy 1878 roku żywszym zaczęły iść torem. Niedawno właśnie cały stary kwartał stolicy, znany pod nazwą „La butte des moulins“ upadł pod ciosami murarskich młotów, i na jego miejscu powstał nowy szeroki bulwar „Avenue de l' Opera“ budynek Opery i stare bulwary łączący prostą linją z „Palais Royal“ i z ulicą Rivoli. Z upadłych ruder, jak gdyby jakieś stado sów i puszczyków, gęstym rojem stare ulatują wspomnienia. Anegdoty dotyczące znikłej bezpowrotnie części miasta przepełniają szpalty dzienników. W tym rozwalonym domu ten i ten sławny zamieszkiwał niegdyś człowiek, na tej ulicy te i te znane, historyczne odbyło się zdarzenie itd. Efemerydy tego rodzaju dostarczają tutejszym kronikarzom sporej treści. Wybierzmy z ich koła parę takich, które i was choć zdaleka zainteresować byłyby w stanie. Przy jednej ze zburzonych ulic „Rue d' Argenteuil“ wznosił się dom, będący niegdyś mieszkaniem ojca tragedji francuskiej Corneille'a. Nieco zaś opodal widzieć można było sklepik szewski, do którego wielki poeta według tradycji w ostatecznej pogrążony nędzy, zachodzić miał czasem, by mu podłatano parę trzewików, jedyną jaką posiadał. Przeciwko tej ogólnie rozpowszechnionej tradycji z przeczącemi argumentami wystąpił Sardou, dowodząc na podstawie nowo odkrytych historycznych materjałów, że Corneille nigdy nie był w nędzy, że przeciwnie pobierając z różnych rąk około 10.000 fr. pensji, bardzo ładną cieszył się fortunką, że zatem jeśli prawdą jest, iż podłatywał swe trzewiki, to czynił to przez oszczędność lub skąpstwo, ale nie z istotnej potrzeby. Inni dziennikarze wystąpili w obronie tej poetycznej legendy, którą im popsuła szperanina pana Sardou. Wywiązała się z tego dość żywa polemika, przez dłuższy czasy zaprzątająca tutejszą publiczność.

Nazwa kwartału „La butte aux moulins“ dowodzi, jak w wąskich granicach niegdyś Paryż się zamykał, kiedy to dzisiejsze jego centrum wówczas było już po za murami miasta, i jako zamiejski wzgórek poświęcone było specjalności wietrznych młynów. Niedaleko, tam gdzie dziś przechodzi Rue des Pyramides, znajdowała się fosa obwodowa, w której Joanna d' Arc, w chwili zapalczywego ataku na mury stolicy, ciężką odebrała ranę. Posąg jej, dłuta p. Fremiet (mówiliśmy wam o nim w jednym z przeszłych listów) wzniesiony na tem miejscu, przekazuje ten fakt historyczny potomków pamięci. Są jednak archeologowie, którzy twierdzą, że rada miejska omyliła się w swych poszukiwaniach, gdyż istotny plac wypadku leży nieco dalej. Znaczy to być nadto skrupulatnym, i kilkadziesiąt kroków w tę lub ową stronę nie zmienia natury rzeczy. Nowo pobudowane gmachy wspaniałemi jeżąc się rzędami, wszystkie te wspomnienia wkrótce wymażą z publicznej pamięci. Jak na miasto tak wielkie, tak stare i tak ważną w dziejach ludzkości chlubiące się rolą, Paryż stosunkowo nie nader jest bogatym w zabytki starożytności. Z wyjątkiem Hotelu de Cluny, Louvru, Wieży św. Jakóba i jeszcze dwóch czy trzech kościołów, La Sainte Chapelle, Notre Dame itd. przeważna większość jego gmachów nie datuje jak z XVIII, XVII, XVI najdalej XV stulecia, i niebrak na świecie grodów, mogących pod tym względem nierównie większym pochwalić się przepychem. Wina w tem częstych i gwałtownych wstrząśnień politycznych, jakim Francja, a zwłaszcza Paryż ulegał co chwila. Nie dalej jak przed 5ciu laty, smętnej pamięci komuna zniszczyła dwa cacka architektoniczne: Tuilerje i l' Hôtel de Ville, które jakkolwiek do odbudowania ich miasto bierze się skwapliwie, nie będą już tem, czem były przed ruiną. A nowo budujące się pałace, pod względem wewnętrznego urządzenia i konfortu, wielką odznaczające się doskonałością, pod względem za to czystości stylu i artystycznego piękna nie mogą dorównać dawniejszym, i na jedną stawiane skalę, monotonnem do koszar uderzają podobieństwem. Charakter w tem epoki, która wszystkie wygładza różnice, i radaby wszystko jednostajnym poszyć mundurem.

Śmierć zmiotła jedną znakomitą osobistość ze świata artystycznego. Słynny malarz Diaz umarł na suchoty. Świetny to był talent, i utwory jego (pejzaże w przeważnej większości) sprzedają się po cenach szalonych. Syn zmarłego znanym jest kompozytorem muzycznym i dosyć udatną kreację jego: „Czasza króla Thulé,“ wielka

Opera przedstawiła lat temu kilka z ładnem powodzeniem. W przeciągu roku Millet, Corot, Fromentin, Diaz, Barryc, Bizet, Felicien David i Georges Sand, to nielada kontyngens sław Francji, zagasłych po większej części przedwcześnie. Wątpimy, by żniwo przyszłości było w stanie ubytek ten zapełnić w sposób zadowalający. W ogóle generacja z czasów drugiego cesarstwa nie zdaje się wielkich zapowiadać rzeczy, i pod żadnym względem nie dorówna swej poprzednicy wykołysanej przy huku armat Napoleońskiej epopei, lub wygrzanej słońcem Lipcowej rewolucji, a której ostatni przedstawiciele żyją jeszcze w Wiktorze Hugo i Thiers'ie. Zamach Stanu grudniowy zaczynając drugą połowę bieżącego stulecia, zaczął ją w sposób nie zbyt świetny dla Francji. Najbardziej korzystnie dla naszych czasów uprzedzony spostrzegacz, rzucając okiem na dwie epoki przecięte linją demarkacyjną Imperji, tamtej od 1800 do 1850 r. absolutne przyzna pierwszeństwo. Jeśli nie upadek zupełny, to chylenie się ku niemu niezaprzeczone; jeśli nie złe bezwzględne, to bardzo mało co różna od niego miernota, zdają się być charakterystyczną cechą chwili obecnej. Nie proroczy, nie wiemy, czy nastąpi po niej nowa epoka odrodzenia.

Co, to dziennikarstwo utrzymuje się tu w ciągłej progresywnej sytuacji. Jak grzyby po deszczu coraz to nowe pisma i pisemka perjodyczne rozmaitej barwy i treści, na publiczną wysuwają się widownię. Weszło tu w modę, iż każdy, nie powiemy istotny mąż stanu, bo takich jest nie wiele, lecz każdy aspirant na tę wysoką godność, każdy senator i deputowany musi mieć dziennik poświęcony wyłącznie swojej polityce. I tak Gambetta ma „La Republique Française.“ Naquet „La Revolution,“ Louis Blanc „l' Homme libre,“ Meunier „Les droits de l' homme“ itd. Większość tych publikacyj, redagowana pod względem literackim jak za napaść, odznacza się tylko niesłychaną gwałtownością polemiki, niesłychanym doborem zelżywych wyrażeń. Za boki od śmiechu trzymać się trzeba, czytając zjadliwo komiczne dyskusje tych panów. Zarzucają sobie wzajemnie łgarstwo, oszustwo, sprzedajność i najczęściej z równą ze stron obydwóch racją, bez względu na przekonania.

Przekonania?! To mi dopiero wyraz nie w miejscu! Przekonania? Alboż to egzystują tu gdziekolwiek? Istne żarty! Szybkim a gwałtownym codzień przypatrując się metamorfozom, największy optymista wszelkich pod tym względem pozbędzie się u nas iluzyj. Przekonanie tu, to interes chwili, to siła kułaka lub pieniędzy. Nie przypuszczajcie, by tak olbrzymia ilość dzienników mogła żyć z prenumeratorów. Broń Boże! Każdy ma swego tak zwanego „bailleur des fonds.“ Dopóki ten smaruje, dopóty pismo jego piosnkę śpiewa, lecz niechże coś, czy brak kapitałów, czy zniechęcenie do polityki przetnie z kieszeni jego tryskające źródło, to zacny dziennik sprzedając się innemu, tylko co chwalonego lecz już zużytego pryncypała, obsypie gradem obelg i potwarzy. Moglibyśmy na poparcie twierdzenia naszego setki złożyć dowodów, tysiące zacytować faktów, ale czyż to warto? Tem bardziej, iż list nasz obecny dobiega kresu i że nie chcemy przedłużać go nad miarę.

Do przyszłego więc

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademji umiejętności. Tom IV. W Krakowie — 1876.

W tomie tym pomieszczone są następujące rozprawy: Dr. Zygmunta Węclewskiego, Wiadomości o życiu i pismach G. E. Grodka; St. Tarnowskiego, Andrzej Maksymiljan Fredro: Charakterystyka literacka. K. Mesterzyńskiego: O pobycie Konrada Celtesa w Polsce i jego wpływie na rozbudzenie humanizmu i dra Wisłockiego: Legenda o Ś. Aleksym. W dodatku program słownika polskiego przez dra Karłowicza.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Z Rohatyńskiego.

Żądaliście głosów z kraju, objawu uczuć i potrzeb ogół obchodzących, poruszenia żywych kwestyj społecznych. Choć wiele spraw tłoczy się w myśli, choć są krwawiące rany, które bodaj dla chwilowego otrętwienia w bolu domagają się zbadania i pomówienia o nich, nie możemy wszelako trafniejszego uczynić wyboru, jak stawiając na czele kwestję oświaty ludu. Gorzką jest prawda. Wybaczcie, że na wstępie nie przychodzę z miodowem słówkiem, a wiem o tem, że na ironję, na wyrzut sumienia zakrawa postawiony przezemie temat. Co zrobiliśmy z wywieszonym niedawno przez nas sztandarem? w czyje zdaliśmy go ręce? czy ta wstęga tęczowa, którą apoteozowaliśmy do świętości, przed którą w skrusze serca składaliśmy przysięgę, ma być obecnie przez nas samych podartą w szmaty, i skazana na przeróbkę papieru, na którym znów po czasie będziemy wypisywali fajerwerkowe frazesy? Dość tych pytań, — odpowiedzi i tak napróżno by czekać. Wszak wiadomą całemu światu i poznaną już przez wrogów naszą cnotą czy wadą jest błyskawicowa zapalność. Lecz aby ta błyskawica naszej działalności rozwidniła widokrąg, trzeba chmur groźnych ołowianej barwy, trzeba gorąca Lipcowego, które krew rozpala. Teraz jest zima w otoczeniu i w sercach naszych. Teraz nie płoną błyskawice, — ciemno i martwo w około. A zresztą, mówią niektórzy: nie żądajcie bezustannych ofiar, nie wymagajcie nad siły, i tak robi się co można. Niestety całem właśnie nieszczęściem i ciosem dla oświaty był od samego początku punkt poglądu na tę sprawę, jako ofiary z naszej strony. Patrzę ciągle z zajęciem na to, co się robi ile można, ba! nawet więcej niżli można, i w tem właśnie upatruję jej błąd główny. Pomijam już wszystkie w kraju upadłe towarzystwa oświaty, jako w samem założeniu nie mające podstaw bytu na przyszłość, — nie tykam licznych dziełek dla ludu które spokojnie gryzą mole i myszy, lecz rozprawię się przedewszystkiem ze wspomnianą kwestją ofiarności.

Wszelkiej ofiary słabą stroną jest jej chwilowość, łatwość wyczerpania się, a następnie brak poczucia obowiązku w ofiarodawcy. Z drugiej znów strony ofiary budzą w biorącym coraz większe łakomstwo i wymagania, wstrzymują go w powinności myślenia o samym sobie, mącą jego pojęcia o należytości, iż wydaje mu się w końcu, że wszelka wyświadczona dłań łaska, jeźli już nie z potrzeby i w celu wyzyskania zeń ukrytych korzyści jest czynioną, to co najmniej należy mu się z obowiązku. — Ofiara to nie polskie słowo i myśl jego nie nasza — jałmużna, wsparcie dane ubogiemu jest obowiązkiem prawego człowieka; poświęcenie nawet dla jakiej osoby, dla sprawy, jest zadosyć uczynieniem serca, dowodem uczucia a nie ofiarą. Doświadczenie uczy nas, jak daleko przez kilkanaście lat potrafiliśmy zajść drogą ofiarną na polu oświaty i na innych polach... (C. d. n.)

Literatura, sztuka i nauka.

— Dr. Włodzimierz Brodowicz, profesor warsz. Uniwersytetu powołany przez Wydział lek. Uniw. Jagiellońskiego na opróżnioną po prof. Biesiadeckim katedrę anatomji patologicznej oświadczył, że zaszczytnemu temu wezwaniu zadość uczynić nie może.

— Staraniem redakcji Medycyny wyszło dzieło Henryka Dobrzyckiego „O kołtunie“ uwieńczone nagrodą konkursową hr. Tyzenhauza przez Tow. lek. wileńskie.

— W Klauzenburgu w Siedmiogrodzie, zaczęło wychodzić czasopismo, mające na oku porównawczą literaturę, pod redakcją Dra Brassai Samuela i Dr Maltzi Hugona. Przedstawia się bardzo pokaźnie, — na gładkim żółtawym papierze, drukiem pięknym łacińskim. Ponieważ zadaniem tego pisma jest rozpowszechnienie go w najdalszych stronach świata, dla tego pisane jest ono rozmaitemi językami, poważnie jednak węgierskim, niemieckim i włoskim. W zeszycie pierwszym, znajdujemy po artykule wstępnym, i dwóch innych przeglądach literackich w języku węgierskim, sonet Petöfiego po włosku p. t. „Mój Pegaz“, wiadomość o nowo założonem Towarzystwie Petöfiego, z której się dowiadujemy, że w r. 1876 kilku znanych pisarzy zgromadziło się w Peszcie pod przewodnictwem Jokaya i wypracowało statuty nowego literackiego Towarzystwa w rodzaju znanego Towarzyst Kisfaludy. Towarzystwo składa się z 40 członków, którzy są zarazem stałymi współpracownikami krytyczno-estetycznego organu Towarzysta p. t. „Petöfi - társaság lapja“ ukazującego się co dwa tygodnie w dwóch arkuszach. W mowie inauguracyjnej, położył Jokai nacisk na potrzebę w Węgrzech (a więc tak jak i u nas?) niezawisłego i niepodległego literackiego stanu. Dalej pomieszczony artykuł p. t. „Filozofja romansu ze szczególnem uwzględnieniem najnowszego niemieckiego romansu“ (Essai). Jestto artykuł dopiero zaczęty. Dalej: przegląd ściślejszy literacki dzieł wyszłych w węgierskim języku — dalej przegląd literatury zagranicznej, w którym jest mowa o Chinach nawet i o Japonji — lecz ani słówka o polskiej literaturze — pieśń węgierska, krótka ogólna bibliografja i korespondencja. Bądź co bądź, ciekawe to pismo a pomysłem prawie całkiem nowe, rozchodząc się w najdalsze strony świata, mogłoby istotnie sposobem encyklopedycznym zapoznawać narody europejskie z ich literaturą, a w każdym razie służyć za pożyteczną wskazówkę.

— Pan Lewes (czyt. Luis) zrobił nowe wydanie swego znakomitego dzieła „Życie Goetego.“ Klasyczne to dzieło nie potrzebuje pochwał. Kiedy 30 lat temu autor zaczął zbierać materjały do opracowania tego przedmiotu, nie było jeszcze na świecie poważnej bjografji Goetego; i gdy w ojczyźnie tego wieszcza dowiedziano się o przedsięwzięciu Lewesa, powstała wrzawa ogromna. Uczeni niemieccy orzekli że dla honoru kraju życie poety powinno być napisane przez rodaka. Dwóch też z pomiędzy nich rzuciło się odrazu do pracy, z zamiarem wyprzedzenia cudzoziemca. Nastąpiło jednak jak zwykle u Niemców, coś co przypomina następującą bajeczkę o wielbłądzie: „Polecono niegdyś Francuzowi, Anglikowi i Niemcowi wypowiedzieć publicznie swe myśli o wielbłądzie. Francuz pobiegł do Jardin des Plantes obejrzał wielbłąda i napisał świetny fejleton, który przyniósł z miną tryumfującą mówiąc: Oto jest wielbłąd. Anglik tymczasem kupił sobie namiot, zapakował samowar, naładował okręt zapasami najrozmaitszego rodzaju i popłynął na Wschód. Studjował na miejscu zwyczaje i obyczaje najrozmaitszych gatunków wielbłądów i po dwóch latach wrócił do domu z ogromną książką przepełnioną faktami, napisaną bez porządku, lecz koniecznie potrzebną dla tych, którzy chcą się zajmować wielbłądem. A tymczasem Niemiec zamknął sie w swym gabinecie i starał się z głębin swej świadomości wydobyć wielbłąda. Dotąd jeszcze ślęczy nad tem zadaniem.“ Bajeczka ta jest o tyle niedokładną, iż Niemiec już wybrnął z roboty i wydał dwutomowe dzieło o 2564 stronicach pod tyt. „Goethes Leben von Vichoff.“ Lecz nie widział on wielbłąda i nawet nie był w Wejmarze. Anglik tymczasem przedstawił rzecz całą z nadzwyczajną jasnością i porządkiem. Pan Lewes nie sądził iż ciemność stylu jest oznaką głębokości i że dbanie o formę jest dziecinstwem niegodnem myśliciela. Po przeczytaniu jego pracy ma się przed sobą człowieka z krwi i kości a nie myt jakiś niepochwytny. W życiorysie pozostawiono wiele miejsca rozbiorowi prac wieszcza. W ogóle studjum to jest o tyle wyczerpujące o ile rozumne.

ROZMAITOŚCI.

— W tej chwili wystawioną jest w salach Wielkiego Hotelu w Paryżu na widok publiczny „machina gadająca“, wynalazku pana Faber Amerykanina, której wizerunek można widzieć w Paryskiej Ilustracji z dnia 6 stycznia b. r. Mówimy wyraźnie machina „gadająca“, gdyż trudno od niej wymagać ażeby mówiła, a bogactwo języka naszego dozwala nam nadać jej właściwą nazwę. Nie jest to zresztą pierwszy przyrząd tego rodzaju, lecz bez zaprzeczenia jest on najlepszy. Wymawia dokładnie wyrazy w kilku językach, chociaż głos jaki wydaje nie ma właściwej głosu ludzkiemu dźwięczności, lecz podobny jest raczej do owej suchej, złamanej i wymuszonej wymowy, jaka z ust głuchoniemego wychodzi. Wymawianie jest wszelako wyraźne i dobitne, dokonywa się zaś za pomocą klawiatury, którą porusza każdy, kto się stosownie do tego wprawi, ażeby na niej dany wyraz wygrać, tak jak się na zwykłym fortepjanie każdą daną kombinację tonów wygrywa. Przyrząd głosowy człowieka bardzo jest szczególny. Składa się z trzech części: z narządu zadechu, z narządów, w których głos powstaje, i nakoniec z tych w których się następnie urabia. Pierwszą część stanowią płuca, które ściskając się jak miech zwyczajny, wyrzucają z siebie prąd powietrza, drugą jest krtań w kształcie rury, w której rozciągnięte są dwie ku sobie sterczące błoniaste fałdy i od siebie wąską oddzielone szparą. Fałdy te zowią się strunami głosowemi, szpara zaś, przez którą powietrze z płuc wydmuchnięte musi się przeciskać, zowie się szparą głosową. Przez owo przeciskanie się powstaje drżenie w strunach, a jego skutkiem jest ton, którego znów natężenie, dźwięczność i wysokość zależeć będzie od mniejszej lub większej strun długości, od stopnia ich wytężenia i od szerokości głosowej szpary. Ponieważ zaś wszystkie te okoliczności mogą w krtani ludzkiej się zmieniać za pomocą bardzo dokładnego głosowego mechanizmu, którym władamy do woli, ztąd też pochodzi, że możemy przeróżne ze siebie muzyczne w śpiewie wywoływać tony. Lecz żeby mówić, to na tem jest jeszcze niedosyć. Ton bowiem wychodzący z gardła musi być w różny sposób połamany, zmodyfikowany i w najrozmaitsze połączony kombinacje, iżby się mógł zamienić w zgłoski, wytworzyć wyrazy i nakoniec mowę. To wszystko dopiero odbywa się za pośrednictwem podniebienia, języka, policzków, warg i jamy nosowej, w której głos nabiera nosowego brzmienia (np. ą, ę), jeżeli z krtani wychodzące powietrze przez nią po części przechodzi. Mowa więc rzeczywiście jest dziełem tych ostatnich dodatkowych przyrządów, a głos jest dziełem krtani. W mówieniu przeważną rolę odgrywa język, zkąd poszło, że językami zowiemy mowy różnych narodów. Udział języka jednak w układaniu głosów w zgłoski i wyrazy, zanadto jest przeceniony, i starodawne tyrańskie odcinanie języka w celu okupienia sobie milczenia, zupełnie bezowocną jest zbrodnią, gdyż brak jego to tylko sprawia, że mowa staje się bełkotaniem, lecz zawsze zrozumianą być może. Machina „gadająca“, o której mówimy, złożona jest z mieszka wypychającego na wzór płuc powietrze, które potem przechodzi przez sztuczną krtań, sztuczne gardło i sztuczne usta. Wszystkie te części, język, policzki i podniebienie wyrobione są z rozciągliwego i kurczliwego kauczuku, a zarazem opatrzone stosownemi mechanizmami, zapomocą których w nich dokonywają się te same zmiany kształtów, jakie przy wymawianiu dokonywują się w naturze. Każdy zaś rodzaj ruchu jest w związku ze swym klawiszem, za którego pociśnieniem dokonywa się natychmiast. Jak więc zadmie mieszek i właściwa kombinacja ruchów w rzeczonych częściach się dokona, to niedziwota, że z narzędzia zamiast prostego tonu, wyjdzie zgłoska lub wyraz. Machina więc gada i to wcale przyzwoicie, i na tej samej zasadzie na jakiej gra fortepian, równie jak i ona za pociskaniem palcami klawiszów. Nie jest to jeszcze bynajmniej nowy cud świata ale jest bardzo pożądany fizykalny przyrząd, za pomocą którego można obeznać się łatwo z mechanizmem ludzkiego mówienia. Kto wie, czy przy dalszem swojem udoskonaleniu nie da spożytkować się w szkołach głuchoniemych dla ułatwienia nauki mówienia, która jak wiadomo z ogromnemi jest połączona trudnościami i tylko przy rzeczywiście świętej cierpliwości nauczycieli cel swój osiąga.

— O pochodzeniu Kirgizów, koczowniczego plemienia azjatyckiego, wyraża się pewien poeta tatarski temi słowy: „Ścigani przez sługi sprawiedliwości, uciekli razu pewnego czterej złodzieje, hen, daleko w stepy; idąc niemi dłuższy czas ujrzeli w dali dwa ciemne punkta, i zmierzyli ku nim kroki swoje. Były to dwie żebraczki: każda z nich poślubiła następnie dwóch złodziejów, z tych małżeństw zrodziły się liczne dzieci, od nich począł się lud Kirgizów, to znaczy plemię rozbójników. Złodziejami są, jak ich ojcowie, żebraczą mają naturę, jak ich pierwsze matki, a bezbożni wszyscy jak owi pierwsi ich rodzice.“ Kto atoli miał sposobność zakosztować ich gościnności, podróżny studjujący ich obyczaje, urzędnik, którego obowiązek służbowy zapędzi do aułów tego plemienia, może się rychło przekonać, jak niesłusznie ów Tatar ocenił Kirgizów. Być może, że młodzież ich jeszcze dziś z chciwością słucha opowieści o rozbójniczych wycieczkach praojców swoich, i uważa je w głębi duszy za czyny bohaterskie; atoli rozbójnictwo nie jest bynajmniej cechą współczesnych nam Kirgizów, przeciwnie tworzą oni między sobą dobrze uregulowane społeczeństwo, pełne ładu i porządku, żyją w spokoju i porządku, w przykładnej zgodzie z sąsiadami, a przyznać należy, że nawet ci, którzy zostają pod berłem cara rossyjskiego, dzięki bezpieczeństwu, porządkowi, spokojowi i tolerancji, ogólnie w pośród nich panującej, budzą słuszną zazdrość z tego względu u pobratymców swoich pod rządami „syna niebios“ cesarza chińskiego. Bez przesady rzec można, że Kirgiz pędzi swoje życie na koniu, nawet każdy interes załatwia na siodle. Dodać trzeba, że postawa jego na koniu nie odpowiada zupełnie naszym w tej mierze zapatrywaniom: strzemiona są wysoko uczepione, jeździec siedzi nie ze zwartemi do konia kolanami, ale trzyma je odeń dość nawet daleko, a mimo to postawa jego na koniu jest silna i pewna, jeździec pokonywa łatwo największe nawet trudności. Ponieważ koń stanowi niemal integralną część bytu Kirgiza, więc nic dziwnego, że żadne święto nie obejdzie się bez wyścigów. Jako jeźdźcy figurują zwykle w tych razach chłopaki ledwie siedmioletni, którzy na najtęższych biegunach siedzą jak przyklejeni do siodła. Przestrzeń wyznaczona do przebiegnięcia wynosi często dwie do trzech mil niemieckich, nagrodę stanowią sto pięćdziesiąt klaczy, albo dziewica, oczywiście nie dla dzieciaka zwycięscy, ale dla właściciela konia, który pierwszy dobiegł naznaczonej mety. Z wyścigami połączone są zapasy ręczne, przyczem mają często miejsce znaczne zakłady. Odpowiednio do tego sportu są Kirgizy również zamiłowanymi myśliwcami. Polują też zapamiętale na zwierzynę, którą dają im ich górzyste stepy rozległe, a mianowicie antylopy, owce górskie, lisy i wilki, przyczem używają ułaskawionych orłów skalnych tak zwanego berkuta, podobnie jak to czynią np, Beduini ze sępem. Gdy Kirgiz wyrośnie na mężczyznę, wówczas roboty ręczne są mu nieznośne i wstrętne; za to ceni wysoko duchową pracę, kocha swoich piewców, i mówi ze swobodą a chętnie o wszystkiem. Gdy się zejdzie dwóch Kirgizów, języki ich w bezustannym ruchu, jak kołowrotki, a ta wielomowność, że tak powiemy, nałogowa niemal przyczyniła się w wysokim stopniu do wydoskonalenia ich narzecza. Ciekawymi są także, jak rzadko kto na świecie, a bajarzami w zupełnie równym stopniu. Prezentowanie się ich jest pewne i swobodne, atoli połączone z niezliczoną ilością formalności. Do czystości plemienia przywiązują wielką wagę, a co więcej posiadają znaczną dozis zarozumiałości i dumy rodowej. Gościnność jest u nich cnotą narodową, a dowodzą przytem zawsze wielkiej bezinteresowności. Konkury, wesela i małżeństwa obchodzą regularnie wśród tysiąca ceremonij, spełnianych z wielką skrupulatnością. Jako wyznawca Mahometa, Kirgiz hołduje poligamji, atoli już druga żona ma w obrębie aułu i de jure bardzo podrzędną, wcale nie pozazdroszczenia godną rolę; pierwsza żona wiedzie w domu rej wszechwładny. Niemowlęta, przez czterdzieści dni od chwili urodzenia, myją słoną wodą, poczem zaprzestają tego, a dziecię dostaje koszulkę, którą tak długo nosi, aż wiszą z niej podarte strzępki, i dłużej jej używać niepodobna. Gdy chłopię dojdzie czterech lat, sadzają je na konia, a w dwa lata potem jest ono już doskonałym jeźdźcem. Znakomitsi Kirgizy każą uczyć dzieci swoje czytania i pisania po arabsku, przyczem Koran, podobnie jak u naszych żydów biblja, jest jedyną książką do czytania. Kobiety, gdy idą za mąż, muszą kompletnie wyrzec się swoich rodziców, ojciec zaś panny młodej otrzymuje za nią od zięcia odpowiednie wynagrodzenie bydłem domowem. Życie rodzinne Kirgizów jest spokojne, i przywiązanie wzajemne spaja ich silnym węzłem, całe zaś plemię jednoczy głęboko wkorzeniony duch religijny.

— Niewolnictwo w Afryce, według ostatnich doniesień, kwitnie zawsze jeszcze w najlepsze pomimo surowych pod tym względem ustaw międzynarodowych. Odnosi się to mianowicie do krain nad górnym brzegiem Nilu położonych, a zostających pod protektatorem Egiptu. Kupcy powracający z Chartumu opowiadają, że od czasu, jak znany uczony podróżnik i filantrop sir Baker opuścił tamtejsze okolice, handel niewolnikami na nowo zaczął być prowadzony zrazu potajemnie, obecnie zaś zupełnie jawnie i wsposób tak gorszący, jak za „dobrych czasów“ wielkorządcy Egiptu, Mehmeda Alego. Porywanie biednych murzynów z nadnilowych osad i odprzedawanie ich w drodze handlu wymianowego za kość słoniową, jest na porządku dziennym targowiska w Chartumie. W Darfurze ma być jeszcze gorzej, a dla uniknienia rozgłosu, rząd miejscowy po prostu odmawia podróżnym i kupcom europejskim wstępu w granice tej krainy, ażeby nie podpatrzyli tam na ogromną skalę handlarstwa dusz. Podróżni europejscy jednak często spotykają na drogach Nilu wiodących ku Darfurowi wielkie karawany handlowe z niewolnikami. Przywódcy karawan tych zazwyczaj opatrzeni są w przepustkę od gubernatora Darfuru, która im zabezpiecza swobodny przejazd. Głównemi ogniskami obrzydłego handlu i porywania niewolników mają być odgraniczone rzekami i nieprzystępne prawie od strony Egiptu obszary nad Gazellą, na południe od Darfuru. Okolic tych nie przejrzało zgoła oko Europejczyka. Handel, o którym mowa, rozciąga się zresztą także aż na wybrzeża morza Czerwonego, a stacje ma pomiędzy Suakinem a Dżiddą z jednej, i Tadjurrach a Hodeidą z drugiej strony. Stacjom tym dostarczają niewolników głównie okolice położone na południu od Abissynji, ale także i rzeczone prowincje egipskie. Kupiec francuski Arnoul niedawno odbył podróż z Schoa do Zeili z karawaną, w której znajdowało się około 1000 niewolników; w Tadjurrach zastał na targu zapas około 5000 tych nieszczęśliwych, pomiędzy którymi przeważną liczbę stanowiły dziewczęta. Rząd angielski, który co do handlu ludźmi wielką istotnie rozwija czujność na afrykańskich wybrzeżach oceanu Spokojnego, zdaje się, jakgdyby oczy przymykał na to, co się dzieje na północ od cieśniny Babel-Mandeb, podczas gdy zdaniem naocznych świadków owych stosunków, dwie łodzie kanonierskie wystarczyłyby do oczyszczenia morza Czerwonego z wstrętnego opryszkowstwa, bezkarnie urągającego ustawom międzynarodowym i uczuciu ludzkości.

— Koło Beaulieu w pobliżu Villefranche'u rośnie drzewo oliwne niesłychanie olbrzymich rozmiarów. Podobnie, jak powszechnie znany kasztan na Etnie, składa się ono z wielu pni, które razem u dołu zajmują okręg 13·5 metrów. Nie daleko ztamtąd rośnie drugie, ale już mniejsze drzewo oliwne zajmujące 7 metrów okręgu. Koło Roscoff, na północnem wybrzeżu Bretanji rośnie figa, pokrywająca 10 arów ziemi. Gałęzie jej podpiera 78 murowanych słupów.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję
JÓZEF A. L. LASKOWNICKI.

Treść Nr. 23.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).